STRONA CZYTANA

numer 2/2020

Akram
Bąbel
Buliżańska
Ciepłucha
CriticForRent
Czarkowski
Czubaszek
de Côté
Górniak
Huet
Kosenda
Krupska
Kurando
Kądziela
Lazurek
Najder
Noga
Nowakowski
Oryl
Płużek
Podlaski
Poklękowski
Pozorski
Przybysz
Rolando
Ruchniewicz
Sambor
Sałdecka
Sidorkiewicz
Sitarz
Sokołowski
Strachota
Studencki
Wierny
Zwolska-Płusa

STRONA CZYTNIA

Redakcja:

Piotr Borkowicz,

Kamil Galus,

Iwo Sadecki,

Przemysław Szczygieł,

Patryk Zimny

Oprawa graficzna: Julia Boros

Korekta: Sara Gosk, zespół redakcyjny

Logo: Jakub Pszoniak

SPIS TREŚCI

WSTĘP **4**

POEZJA **5**

Akram 6

Kosenda 10

Krupska 15

Noga 21

Nowakowski 25

Płużek 27

Przybysz 31

Sałdecka 35

Wierny 40

Zwolska-Płusa 45

Trójpak: 50

I. Buliżańska & Podlaski 50

II. Pozorski 50

III. Rolando 50

PROZA **54**

Bąbel 55

Czarkowski 65

Czubaszek 68

Kądziela 74

Sambor 81

Sitarz 95

Strachota 102

KRYTYKA **116**

Kurando 118

Najder 122

ROZMOWY NA STRONIE **131**

Pomelony i szczęśliwki, czyli perły w rzemiośle?
Rozmowa Beaty Huet z Maciejem Studenckim 132
STRONA WOLNA 139
Ciepłucha 141
de Côté 143
CriticForRent 152
Górniak 156
Lazurek 159
Oryl 165
Poklękowski 167
Ruchniewicz 174
„Sidor” Sidorkiewicz 177
Sokołowski 183

WSTĘP

Strona Czynna wyszła za mąż

Mówią, że debiut wyznacza dalszą ścieżkę rozwoju, jest określeniem formy języka i treści na wstępie, zabraniem głosu niepytanego. W lutym (dokładnie siódmego) mieliśmy okazję przekonać się jak przebiegała współpraca nad pierwszym numerem. Wieczorową porą w gdyńskim klubie Desdemona, przy licznie zgromadzonej publiczności gościliśmy autorów z Krakowa, Poznania, Pabianic, Wejherowa i Gdańska, którzy przeczytali swoje teksty i wezwani do odpowiedzi w debacie merytorycznie wywiązali się. Postronni, gdy opadły już emocje, wyrazili jasno, że tego było trzeba: pojawienia się nowego medium w sferze życia literackiego w Trójmieście.

Jest oczywistym , że najtrudniej jest po debiucie - utrzymać poziom, być równie zaangażowanym, przyjąć krytykę i uniknąć błędów przy pracy nad pierwszym numerem. Wiedzieć, że tylko zespół daje siłę i to zespół ponosi odpowiedzialność za wyjście na świat gotowego produktu dla czytelników. Być pewnym, że robimy to dla miłośników dobrej literatury.

Nie było łatwo, zwłaszcza że zanim zakończyliśmy nabór, w połowie marca zastała nas wszystkich pandemia koronowirusa. Wszelkie zagadnienia, debaty, spory wokół nadesłanych propozycji oraz pomysłów na ten numer przeprowadzaliśmy za pomocą nowych technologii, a więc to też swojego rodzaju debiut.

Postawiliśmy na wcześniej przyjęty i w pełni czytelny podział tematyczny. Po raz kolejny możemy zaprezentować twórców bardzo uznanych, jak i tych, których szlif dopiero nadejdzie. Oddajemy do dyspozycji prawie dwieście stron efektów pracy autorek, autorów, jak i naszej – zespołu redakcyjnego, wierząc, że czynna literatura nie potrzebuje masek.

Redakcja Strony Czynnej

POEZJA

Sara Akram

Pisze doktorat z językoznawstwa. Publikowała tu i tam. Finalistka XV. Edycji Pracowni Twórczej Połów (2020). Mieszka w Lublinie.

świętuje: ten szczególny dzień

spóźniona fraza zostaje między kodą a smogiem biało
sklejam brzegi między kodem a zimnym ogniem treści
gęstnieją przy płonących oknach wypchanych piaskiem

wypełniacz kodu sprzedaje lizaki wszystkim
zainteresowanym trzeba tylko się określić
być obecnym kiedy skleja śniegi zostawia

światłoczuła banieczko
dźwiękoszczelna frazo
przekażcie sobie znak systemu
                bombelku
otwórz się

potwierdź swoją osobowość

przed wyświetleniem dokumentu i wtedy dociera do mnie że wszyscy
gramy w netflixowym serialu google podpowiada pytanie: jak daleko
sięga czuły ucisk formatu micro romantico podłączono:
mam miłość w ustach teraz nie mogę cię poczuć ale rzeczy

są wielobarwne tracąc rachubę czasu jest się bliżej
skrajnie łatwopalny budzi mnie zasysa import w pustych ulicach
foliowe siatki skrywają wielokształtne głowy niczym chmury
w oczach kurczy się plastik horyzont kreślą szklane chodniki
zgniatają przestrzeń jesteśmy krok bliżej oczko szkli się
rysuję na nim tęczę

there is no filter without you

warstwa śniedzi pokrywa profil zawieszam wzrok
w środku szampan celebruję twory wyobraźni
znajdź momenty w których siedzi we mnie napalm
chromy wnika w sieci pielęgnuje mnogie głosy

Patryk Kosenda

Urodzony w 1993 r. Konstruktor wigwamów słownych w „Stonerze Polskim”, przyjaciel Hagrida i mięsisty cekin. Autor książki poetyckiej *Robodramy w zieleniakach* (Korporacja Ha!art 2019). W alternatywnej rzeczywistości pobłażliwy syn Richarda Gere'a i Marka Grechuty, który wpatruje się w tatów jak w zmurszałą tęczę. Publikował i konkursił się w luksio miejscach. Kwasi o filmach na peju Kino Kiszone. Tłumacz z króliczego.

Heist porn

Napad na bank spermy.
Stary mi pisze:
super moja krew na rękach.

Spermiarze, incele, skubi chrupki gwałtu.
Zabiorę was na bezludną wyspę.
Będziemy się kochać do końca naszych dni.

Rzeczy, które robisz w Łodzi, będąc martwym

i mętnym jak czujność dewoty. Mówią leki:
weź nas od tyłu. Polewam serotoninkę, bo *przyjechałem*
tu nic nie robić. Stary, maleńki i brzydki strach na pelikany.

Odpalam familijnego od familijnego. Bywam tu
ekshibicjonistą z narkolepsją, bo lepszy fiut w garści
niż pelikan ze strachu. Ojczysty ptak świetlisty jak szlak.

Ptaszę się o wpierdol, żeby mi karma z gardła
poszła i nie wracała. Chcę łkać i w ryżu schnąć.
Bunt kaszy żyruje wkurw ptaszyn żeruje.

Wyjawiam windziarzowi w Savoyu, temu z malowanym okiem:
Nie strzela się dwa razy do tej samej kukły.
Bo po co?

Nábrók z papy

Wali tu ścierwem i pizzą. Palę ryj każdego dnia,
przepalają się mistyki jak powietrze w schronie.
Przydomowe ogniska fajczą dzikie kina porośnięte kukurydzą.

Ogień, bracie – kapitalne nekrogacie. Pałac lęgowy
jako kwestia pociechy. Że po starym? Tak, wikt miast wiksy.
Świat to za dużo. Ustanawiam wyrko i kołdruję boleść.

Zatem, co jeszcze kala:

metaforyka wędkarska, gary bite do krwi.
Święcone fuszerki akuszerów, księżyc wytarty jak fliper.
Hołdys.

Nudy na pudy, skurwysyny

Boże, coś coś tam odjebał na zwale.
A pan organista dziś grał minimale:
hostia na spółę w konfesjonale.

Odpokutowanko odnawia przymierze na miękko.
W naszym świecie ruszamy się po kolei.
Solarpunkowe miazmaty przeginają miazgę.

Nie przeszkadzają mi pozerzy, purystów nie znoszę.
Jak święty pierdolec rzucę się pod koła
sklepowego wózka. Konstelacje obwoźnych marzydeł

łapią mnie za sygnety. Czasem po prostu wymodlę toksynę.
Na jutro, na czczo: opętać kolesia decydującego o losach
komory maszyny losującej. *Panie, co pan wskrzeszasz dyrdymał?*

Ewelina Krupska

Rocznik 1989, łodzianka. Publikowała w „Magazynie Pismo”, „Czasie Kultury”, „Kontencie” i „Tlenie Literackim”. Debiutowała *Mapą zalesienia* wydaną przez Convivo w 2016 r. Uczestniczka pracowni PO DEBIUCIE organizowanej przez Biuro Literackie w ramach Stacji Literatura 2018. Finalistka Konkursu Poetyckiego im. Klemensa Janickiego 2019. Mieszka w Poznaniu.

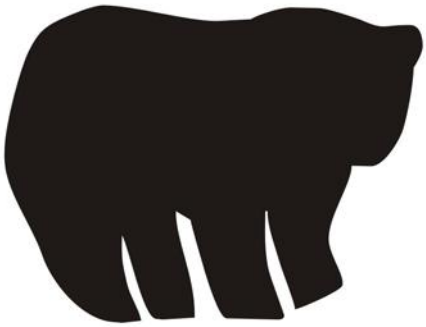

tryb migania

dziewczyny, które nie były dotąd nigdzie,
z uśmiechem wręczają mi zniżkę na flixa
na prawie pustej ulicy. w pełnych domach
wilgoć idzie z czajników ku nieszczelnym oknom,
by zmiękczyć światełka choinek ukiszonych
na noworoczne kimchi. z kartek z kodem
robię brzydkie szybowce z twarzami na skrzydłach,
a linie zgięć wytyczam tak,
by nikt nie rozpoznał ludzi z shutterstocka.

potem wrzucam to wszystko przez otwarte okna
parterowych mieszkań wietrzonych przed nocą
z obiadów, ciał i śmierci. babcie i dziadkowie
każdą z tych przesyłek otoczą czułością,
ustawią za szybką lub włożą do teczki
z wycinkami z gazet o bardzo zdolnym wnuku,
o sposobach na zrazy, o papieżu. to miasto
rozciąga się w rękawach i nogawkach jak ciuch
dorzucony w lumpie do promocyjnej torby,
bo szkoda nie wziąć więcej. nocne światła
są w trybie migania, by na długich trasach
nie było szczególnych opóźnień.

kolekcja kamieni

śniło mi się patrzenie na koniec, szczytowe ściany domów
w nieco innym świetle niż zwykle. na czas końca
rozdawano nam jabłka do zagryzania lęku
zielone i bez skaz. powolny ruch ku górze
zaczął się od rzeczy najlżejszych: od papierków,
od pajączków, różowych pęcherzy,
które wyjęliśmy z ryb już po śmierci kotów
i mogły leżeć w trawie do dziś. dla tutejszych
najdziwniejszy okazał się dzień bez rytuału:
niezassane wymiona, ciche agregaty
w ostatnich godzinach nie trawiliśmy mleka
wymyślonego przecież na inne okazje.

ktoś dał nam jednak znać, że istnieje schron
na wszystkie rzeczy, które mają o nas świadczyć;
wybrałam kolekcję kamieni i łyżeczkę:
rośnij duży, okrąglutki, przyszły świecie, jedz

pikle

to dziecko, któremu pozwalasz głaskać psa,
dajesz do rąk kurczaczka, szklankę: patrz,
jakie jest pojętne.

jeszcze chwila i spojrzy
bardziej przed siebie niż zwykle, pójdzie kraść
z mapą wyrwaną z atlasu.

gdzieś w pobliżu są piwnice, a w nich słoje,
które mogą nas przeżyć

slow-mo

drzewo karmiło się strachem, wołało o trzeciej
chłopców, którzy swój sen posiali za płytko,
bo w kłaczkach dywanów, w makatkach, w kwiatach –
jak kulki styropianu. widziano ich potem
na nieostrych skanach zdjęć, bez twarzy,
jakby złapanych w biegu przez auto google maps
jadące przez włocławek. nikt nigdy nie pytał,
co powiedzieli siostrze, by zgodziła się iść,
zamknąć oczy i liczyć bez oszustw
co najmniej do stu. noc parcieje, chłopcy,
i prószy na ramiona matek pomniejszonych
o dni spędzone na wypatrywaniu, matek
w koszulach z domieszką bawełny, z garbami;
nikt tego nie zbierze, nie odeśle,
paczki z pyłem cofnięto lub przechwycono w drodze.

dolina pęka od wschodu – zbiegamy w dół
na niekończącym się slow-mo, w obce ramiona

pokoloruj obrazek

całą noc szukamy kolorowanek z końmi,
ale nie wybieramy żadnej. dziecko dzieli
pustą kartkę na kolumny i rzędy: oto blok
widziany od strony balkonów, człowiek z kresek,
które stawia się szybko, by nakreślić zamiar
opuszczenia mieszkania. jeszcze żółte światło
w tym jednym, najmniejszym pokoju i możemy
uznać, że rysunek jest dobry, spakować się
do góra jednej torby i wystąpić
o azyl w państwie dla tych, co się już przydali,
wychowali młode do mazania za linią;

kto cię zmaże, światełko, gdy pójdziemy?

Jakub Noga

Urodzony 1978 r. w Gdyni. Pisze wiersze, opowiadania, teksty słuchowisk dla grupy Kolektyw Chaosu. Dramaturg przy filmie fabularnym *LAS* Joanny Zastróżnej. Zdobył kilka mniej ważnych nagród literackich. Gra na hinduskim instrumencie sitar w zespole Baden Baden i innych równie mało znanych zespołach alternatywnych i jazzowych lokalnej sceny.

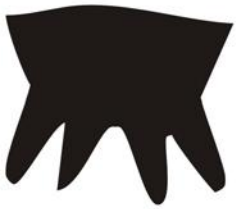

W odinoczku spasatsja nie lzia
(„nie można zbawiać się w pojedynkę”)

Czekałem ciebie jakbym snu miał mało
wracając chodnikiem górą pod lasem
czy z braku taksówki robiąc to nawet
z dwiema seksownymi blondynkami

na tarasie hotelu owoce jedząc plułem
pestkami aż zwątpiłem i zrobiłem się mały
a mając na boku kontrakt z jednym gejem
wierzyłem że wrócę sam do domu tylko że

dom to jest dajmy na to z krwi ludzi bądź
zwierząt więc wymyśliłem lwa który czujnie
patrzy przy mym boku idzie powietrze żre

zwierz to stary co najwyżej
trzydziestoletni
człowiek którego nikt nie widzi oprócz
Jakuba
tego łajdaka pijaka złodzieja bandyty

więc idę patrząc oddycham

ledwo donoszę

że droga jak na początku lekko sunęła
pięła się w górę potem w dół aż minąłem
garaż ławkę i tak ofiarnie poświęciłem się

prosto pod mym domem upadłem

gdy pomyślałem spokojnie o tobie

to wyjątkowo nie potrzebuję tego maja
czułości lwa dwóch dziewic pestek owoców
hoteli i domu

zwyczajnie tak czuję że noc jest dziś niska
a ty mieszkasz z innym

***

krzewy naboje koty opuncje lunety teatry podrzędne bary
influenserzy
ci którzy kraj przejechali spali wśród spadających gwiazd
rozkruszonych czipsów maltretowali materace podczas
słuchania arytmicznej muzyki budzili się każdego ranka

z dziewczynami w ich biało zielonych szalikach
farbowanych na żółto niebieskie kolory tęczy
ci którzy wyjadali gorące kubki korporacji Acme
weganie roślin mordercy segregujący każdego dnia
plastik i plastik kupujący w nadmiarze

kurwy kutasy wygrani siedzący w telefonach na wigilii
przekonani o swojej wartości w świecie bez papieży
modlący się o zdrowy rozsądek i śmiejący z pielgrzymów
w drodze do Mekki naziści kopiący murzynów i padający
na kolana przed czarną Madonną matką Żyda

wyrzucający z domu telewizory wtopieni tygodniami w
serwisy streamingowe szukający nowych podniet
i zaspokajający się nad ranem zdolne dzieciaki głupich
rodziców politycy kochający nienarodzone dzieci
skazujący na wygnanie palących zioło gówniarzy

krokusy wiosny przebiśniegi słów pospolitych artyści
idący zawsze pod prąd łapiący się każdego gówna
płynący wbrew rzece doświadczeń maniacy nowości
i konserwatywne dziady w różowych szalikach nowoczesności
pijący przy barze kawę z mlekiem i posypką

do was mówię

mecze Lechii Arki derby na pętli w Oliwie robotnicy
uczciwi złodzieje wynoszący z pracy co popadnie
wracający do grubych kobiet i wrzeszczących dzieci

feministki na meczach rugby w Sopocie ledwo
oddychające anorektyczki z brodami pedałujące
w masie krytycznej skrycie marzące o szybkim numerze
z miejscowym proboszczem tatuażyści i tatuowani

wczasowicze

ci którzy w kolejkach po zapomogę stoją leniwie jak i kapitaliści lewacy
w środkach masowej komunikacji odtwarzający z powietrza muzykę
powstańcy komuniści i ci co nikomu do ręki nie dają
magnolie kaliny bluszcze węże w kieszeniach

emeryci renciści idioci sejmowi państwo z Warszawy i państwo po Warszawie
pływający motorówkami i z motorówek wypadający czy tacy którzy całe
życie udowadniają brak przywiązania wszyscy cyniczni oszuści
rozgniatający na Wyspach koks i ciężko zapieprzający na
dom w Polsce zniewieściali trendsetterzy depilujący klatę i jaja
producenci tony śmieci siedzący tłustymi dupskami na firmowych krzesłach

tańczcie gdy wam źle tańczcie w radości

patrzyłem na stada pływających bez celu koło wejścia do Władysławowa
woda gęstniała i kolor powietrza północy przypominał wypalony księżyc
w nowych butach i dresach tipsach botoksie trzymali między kolanami nagie banany
chełpliwie rozbryzgując wody Bałtyku oddalali się w kierunku nieznanego brzegu

gdybym tylko okno miał na niebo szkliste odbijające
wszystkie załamania ciemnej fali jakbym mógł tak przez noc
całą ciebie pisać i żeby wszystko było przejrzyste
czy chociaż deszcz słabiej padał idąc mi pod ramię
napisałbym na nowo nie uratujesz się z tych wyjść
i przejść podziemnych z czekania na wiosnę z braku słońca
nie uratujesz się z tych wyjść i przejść podziemnych

Paweł Nowakowski

Urodzony w 1992 roku w Sieradzu. Autor książki poetyckiej *Między innymi* (2017), asystent sędziego w jednym z poznańskich sądów. Wiersze publikował m.in. w „Afroncie", „Arteriach", „Inter-", „Kontencie", „Opcjach" i „Wakacie", w przeszłości nominowany również do Nagrody Głównej w XXI OKP im. Jacka Bierezina. Mieszka w Poznaniu.

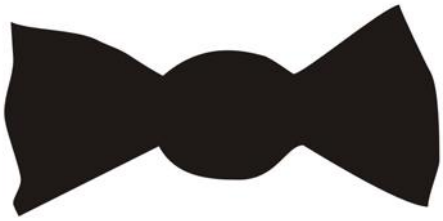

starołęka

znajdujemy wreszcie motyw przewodni
plany uwikłane w plany przewodzą motywom
pasieka znaczy obecność gdy sama o sobie
wystawiasz świadectwo sama z siebie bez
udziału wszystkich zbiegających się obcości

epikryza

dawniej mieliśmy się ku sobie a przecież
wciąż nie jesteśmy tutaj za karę tylko na próbę
powtarzane do skutku *był na to czas* łączy
zabieganie z zapobieganiem bo ponoć ciężar
nie leży w zasięgu płci swoją drogą zmierza

do syta

mrowie

w stawianiu pewnych kroków błąd to nic innego
jak tylko zaproszenie do patrzenia wstecz wbrew
zasadzie retroaktywności i miarkowanym garściom
w dalszych kategoriach zaspokojenia bez zbędnej
zwłoki docieramy do granic badamy zawisłość
gwiazdy brzemienni w skutkach przechylamy
szalę na stronę okrzepłego w niewiadomej

potomstwa

Maciej Płużek

Absolwent polonistyki Uniwersytetu Śląskiego. Z przeznaczenia albo przypadku górnik. Publikował w „Czasie Kultury", „Bregarcie", „Projektorze" i „Suplemencie", a także w literackim necie oraz w Antologiach: *Zakodowani w Pióromanii* i *Antologii Poetów Polskich 2017*. Czasami udawało mu się wygrywać konkursy, niektóre nawet dwukrotnie, jak Przesympatyczny Brwinowski Parnas. Czasami odbierał nagrody z rąk Józefa Barana, Adama Ziemianina, Krzysztofa Siwczyka i Rafała Czachorowskiego - ale generalnie wysyła w świat mało i okazjonalnie.

Szkody górnicze (jednak remont)

Nie kocham już słupów elektrycznych Panie Bly
Znienawidziłem je od czasu, kiedy zostałem elektrykiem
W drukarni Gazety W jak wiecznie przeciekający dach
Gdzieś pomiędzy masywem Tesco a fabryką gwoździ.
Na domiar złego wczoraj przeglądając internetowe witryny
Dowiedziałem się, że jestem niedomytym hałdziarzem
A moje wiersze to plastikowe modele redukcyjne na uwięzi
Skarlałej wyobraźni
Może najwyższy czas
Przebudzić się z letargu filologicznej poprawności
Spalić biblię z flagą brytyjską na okładce
Nie wznawiać prenumeraty NOWOCZESNEGO POETY
Zignorować slamy, zloty i inne chałtury
Wrócić
Do
Różewicza
Leśmiana
Zarysu teorii
Rozpocząć wszystko od początku
Od rzeczy prostych jak słup chociażby

Pepik

Wiersz najpierw poczyna się w snach
wyobla swoje ciało z oparu krwawego świtu
aby rosą osiąść gdzieś w depresji świadomości

Siedzimy nad czeską wódką Ja Polak – On Czech
Nad nami niebo jak skronie pulsuje gwiazdością
Pod nami Góry listopadowe umierają bezszelestnie

O Polsce gadamy wstyd się przyznać o Polsce
Tej od morza do Tatr, nie papierowej lub dżipies

Na porządnym świniobiciu, to nic się nie zmarnuje
Zeżrą wszyściutko, a potem pokotem leżą pijani
Z Tą wasza Polska jest tak trochę podobnie
Tysiąc lat wszyscy was okradają
i jeszcze jest co kraść
Cud Cud Cud
Podziękujcie Matce Boskiej Copacabańskiej
Janowi Pawłowi pod krzyżem wysokiego napięcia

A ty co? Lepszy jesteś knedliku?
Utopiłeś Jana Nepomucena w Wełtawie
Jak szczeniaka od podłej suki
Szczasz na swój kraj piwną szczyną
My mamy Herberta – Wy Egona Bondyego
(P*rzepraszam, czy ma Pan pożyczyć trochę gówna*
bo bardzo chciałem się wysrać)
Nawet słowo smrt po waszemu brzmi śmieszne

Kiedy słońce wyturlało się z pustej butelki
ON wymamrotał jakby wstydliwie

Přišel jsem zemřít tiše
Přišel jsem zemřít tiše*

**Przyjechałem tu umrzeć spokojnie*

***

Mój Śląsk jest bezsenną nocą
Cuchnącą onucą szarym mydłem Biały Jeleń
Przeżutym tytoniem sznupaką Poschla
Wiecznym kacem gigantem kundlem
Do odrobaczenia na krótkim powrozie
Wydajną jak Ekogroszek starą kobietą z sortowni
Jej matką babką i prababką bękartem
Kradnącym wypłaty pijanym górnikom
Mój Śląsk dzieli się na cztery zmiany
Siedem stron świata albo cztery ćwiartki
Nerwowo wypijane w pociągu o świcie
Mój Śląsk którego już nie ma na mapie
Czystej Europy ani żadnej innej oprócz tej jednej
Jedynej w Mojej wypalonej jak hołda głowie

Kazimierz Przybysz

Ćwierćwieczny dolnoślązak, quasi-poeta i inżynier (bezsprzeczny). Często sprzecza się ze sobą. Bywa, że dochodzi do słowa w trzech językach. A czasem nawet dobiega. Myślami lubi wracać do Walsera, spacerowym krokiem. W wolnych chwilach podlewa kaktusowych braci na duchu i gotuje sobie los. Z powodu siedzenia w domu uczy się BI, VBA i Scrum.

kosmiczne izolacje #1

mówiłaś: wyjrzyj przez judasza
za dzwiami kosmos –
będziemy astronautami

w szmerach jupitera
doskwiera że łgałaś

a mgławice przeciekały przez palce i
przetarte od słów maski tlenowe
utrudniały mi wdech

aż zmarniałem i zmarszczyłem brwi

a co jeśli wszechświat się kurczy
codziennie – pod twoim okiem?

gdy budzę się bez skafandra
przerażają mnie fotony

kosmiczne izolacje #2

bogu na to patrzy – ducha winnepierwiastki i procenty zrozumienia
słupki w excelu, teorie alienacji
a po pustych miastach odbija się niestrawność *άστατός*

otóż w ramach zarazy doszliśmy do wniosku, że nie jesteśmy
wszech-

a kosmiczne wytwory śmieją się z nas gromko
od lat

chyba, że jesteśmy sami
wtedy pustka jest zupełnie niezalepialna

kosmiczne izolacje #3

to, co nam zgotował układ solarny, przechodzi ludzkie pojęcie
ale grunt, że catering mamy dobry

karmili nas tą papką

a my – fonograficzne kaleki –
bezmyślnym wyrazem twarzy
nie rozbijemy dzisiaj kwarków

ale możemy – elementarnie – zachować się po ludzku

we własnym domu podbijać wszechświat

Karolina Sałdecka

Urodzona 11 sierpnia 1983 r. Polonistka i romanistka, doktor nauk humanistycznych. Publikowała m.in. w „Twórczości", „Kwartalniku Literackim TEKA", na stronach internetowych „Dekady Literackiej", „Arteriach", „Blizie", „Znaku". Laureatka kilku ogólnopolskich konkursów poetyckich, w tym Konkursu im. Rainera Marii Rilkego. Autorka zbiorów wierszy *Na własne oczy* (2011), *Psi blues* (2016), książki *Żyjemy wciąż jeszcze na rusztowaniach. Wizerunek kobiety w polskich powieściach doby realizmu socjalistycznego* (2013) oraz powieści *Psycho Killer* (2016). Członkini zespołu redakcyjnego kwartalnika „Fabularie". Stypendystka Miasta Bydgoszczy w dziedzinie kultury (2016) oraz stypendystka Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego w dziedzinie kultury (2016). Mieszka w Bydgoszczy.

ja, HooDoo

zamknięty w łupinie medalion
daję wam wszystko, co zbliża was do szczęścia
z ziemi i z krwi, z moich ciemnych płynów.
jak królicza łapka

dyndam u waszych białych piersi, a wy
zgrywacie nieświadomych

głusi na wołanie spod desek pokładu, do reszty
przesiąkniętych potem i czystych
jak nasze białe (ach, jak białe)
kości. wybite zęby od zawsze mylicie z perłami, a kiedy
tkwią jeszcze w naszych żuchwach, mówicie dobry towar i spluwacie na nas

ja, HooDoo i ty, HooDoo oznacza
nasza praca i nabrzmiałe żyły
nasze brzuchy i krocza zeschnięte na strzępy
nasze HooDoo brzuchy i krocza
naszeHoochy i Doobrzuczakro

Moja siostra

kalima siedzi na mnie okrakiem, a jeśli ma lepszy humor,
stuka obcasami o poręcz łóżka
bim bam bom
ma poranione oczy i pył
pomiędzy zębami, kiedy mnie całuje
na dobranoc, myślę siostra, której nigdy
nie było

bim bam bom śpiewają
jej zdrowe buty

skórzane i zdrowe. tymczasem modlę się o oddech
czym będę się martwić, gdy odejdzie?

bim bam bom nucimy razem

Monika

biliśmy ją po szkole za kinem i w parku przy schodach
na cmentarz chociaż nikt z nas nie pomyślał
że do twarzy jej będzie w goździkach liliach albo chryzantemach.
biliśmy za grzywkę tłuste włosy dziwny zapach
nazywaliśmy go smrodem a dorośli
biedą nikt nam nie tłumaczył
biliśmy za plecak bluzę za głos za ciche bycie obok za krótkie włosy
za plamę na czole (zwykłe przebarwnienie też mam takie
na ręce) za to że nic nie mówiła a drżała jej broda
jak łyżeczka w szklance

Wyższe piętra

zaprawdę powiadam wam
nie wolno śmiać się ze starych mężczyzn. dawno zatracili tę lepszą część siebie
(choć darmo dostali) są jak wieże bez podstawy toporne i zmurszałe,
zawalone.
ich chude golenie chwieją się i trzęsą
od nadmiaru pragnień. nie wolno drwić ze starych kobiet, których nie podejrzewasz
o papierosy i pięć hardych w plastikowej siacie, ich hormonalny wąs
czyni ostatnie pierwszymi

Aleksander Wierny

Urodził się i mieszka w Częstochowie, pomieszkuje w Sygontce. Absolwent filozofii na Uniwersytecie Wrocławskim. Kiedyś – dziennikarz prasowy i telewizyjny w lokalnych redakcjach, dziś – urzędnik. Wydał prozę gatunkową – kryminały *Światło i Teraz*, horror *Krew i strach* oraz autobiograficzną prozę *Matka mojego dziecka*.
W 2019 roku ukazała się jego debiutancka książka poetycka *Sygontka*.

KRZYŻ PRZETRWA

Wycięli krzaki i badyle, ale zostawili krzyż,
idziemy razem wzdłuż remontowanej ulicy,
mój mały syn i ja, omijamy stosy kostki,
włazimy na ogromne góry sypkiego piasku.

Wycięli krzaki i badyle, ale zostawili krzyż,
stoi pod nim mały znicz, leży bukiet kwiatów,
włazimy na ogromne góry sypkiego piasku,
mój mały syn i ja, omijamy stosy kostki.

Idziemy razem wzdłuż remontowanej ulicy,
mój mały syn i ja, przystajemy obok krzyża,
stoi pod nim mały znicz, leży bukiet kwiatów,
wokół zryta ziemia, potężna płaska przestrzeń.

Wokół zryta ziemia, potężna płaska przestrzeń,
mój syn i ja stoimy pod samotnym krzyżem,
co przetrwał wypiętrzanie gór, stosy i remont,
przetrwa też pewnie nas, ale nas jest dwóch.

BEŻOWY PŁASZCZ

Na ławce beżowy płaszcz złożony w kostkę,
patrzę na niego, kiedy wracam sam do domu,
wiem, bo dzwoniłem, że czekasz w cieple,
więc przyśpieszam, żeby się wreszcie ogrzać.

Mógłbym podnieść z ławki beżowy płaszcz,
założyć, pewnie dobrze by na mnie pasował,
wiem, bo dzwoniłem, że czekasz w cieple,
więc przyśpieszam, żeby się wreszcie ogrzać.

Na ławce beżowy płaszcz złożony w kostkę,
wiem, że pasuje, bo przecież zawsze tu był,
czekał na mnie, ktoś go dla mnie zostawił,
mógłbym podnieść z ławki beżowy płaszcz.

Mógłbym podnieść z ławki beżowy płaszcz,
potem odjeść, żeby poszukać innego ciepła,
ale przyśpieszam, żeby się wreszcie ogrzać,
wiem, że na mnie czekasz, bo dzwoniłem.

DZIOBANIE

Gołąb dziobie chodnik obok tablicy,
na której wypisano długą listę potraw,
uparcie szuka swojego pożywienia
przy restauracji z dobrym jedzeniem.

Przy restauracji z dobrym jedzeniem,
gdzie ludzie wybierają z długiej listy
potrawy i jedzą je dziobiąc sztućcami,
gołąb dziobie, szukając swojej karmy.

Gołąb dziobie chodnik obok tablicy,
na której wypisano długą listę potraw,
nigdy przecież nie pozna żadnej nazwy,
więc na zawsze zostanie za drzwiami.

Ludzie wybierają z listy swoje potrawy,
zjedzą je dziobiąc talerze sztućcami,
ale nie znajdą prawdziwego pożywienia,
które nie ma nazwy i jest za drzwiami.

GŁÓG

Kosz na śmieci zarósł krzakiem głogu,
więc nikt już nic do niego nie wrzuca,
stare odpadki zgniły albo zardzewiały,
całkiem zapomnieliśmy o tym miejscu.

Całkiem zapomnieliśmy o tym miejscu,
przechodzimy obok śliskim chodnikiem
przez smród i zgrzyt zestawów zdarzeń,
do których od dawna nic dodaliśmy.

Kosz na śmieci zarósł krzakiem głogu,
co zasłonił przed nami śliskie wnętrze,
więc nikt już nic do środka nie wrzuca,
nikt na niego nie patrzy, ani nie używa.

Przechodzimy obok śliskim chodnikiem
przez smród i zgrzyt zestawów zdarzeń
i nosimy wewnątrz swoje stare odpadki,
nikt na nas nie patrzy, ani nie używa.

Katarzyna Zwolska-Płusa

Rocznik ‘86. Żona, mama, nauczycielka, tutorka szkolna i akademicka. Laureatka nagrody im. J. Zielińskiego za najlepszą książkę poetycką roku 2017 oraz XIX Award World Poetry Day UNESCO 2019. Poezję publikowała między innymi w „Dwutygodniku”, „Fabulariach”, „Helikopterze”, „Migotaniach”, prozę w „Nowych Peryferiach”, „Fabulariach”, „Drobiazgach”. Mieszka w Częstochowie.

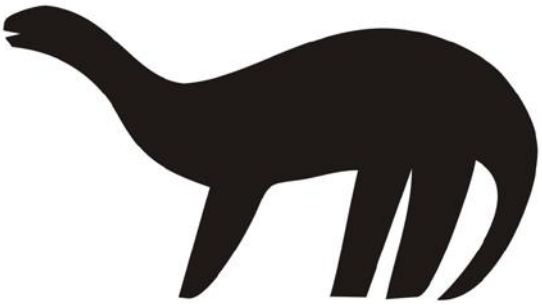

mother's little helper

mamie

przez realnium, jak przez pryzmat, przechodzi światełko.
wystarczy wyjeść kilka różowych groszków, a blister
uniesiony do nieba zacznie przepuszczać prawdę:
i tak nie będzie spał spokojnie, i tak nie będzie robił
am. w niebie nosił będzie koszulki poplamione żółcią.

nasz świat to wielkie akwarium

sąsiad objęty kwarantanną wychodzi po wódkę.
sąsiadce odeszły wody, a kobieta lat 27 zmarła
na dowód, że nikt nie jest bezpieczny.

toń wciąga ikara, dedal leci dalej. ta wojna pomiędzy
lekkoduchami a panikarzami toczy się na facebooku.
merkel mówi, że utoniemy niemal wszyscy.

nie zbliżam się do słońca.
ty nie zbliżaj się do mnie.

w kosmosie nie ma uczuć*

nasze mózgi są uszkodzone –
pień mózgu, układ limbiczny,
płaty czołowe.

nie rozumiemy. nasz obraz istotności
jest nieistotny, centralna koherencja
słaba jak chiński zatrzask.

pani pyta z czego zrobione są buty.
pani każe stanąć na jednej nodze.

załóżmy pacynkę na paluszek.
załóżmy pacynkę i pacnijmy
panią w czółko.

bo nasze mózgi są uszkodzone –
ciało migdałowate,
ciało planetarne,
ciało astralne,
ciao.

* Tytuł filmu z 2010 roku.

wiersz o mężczyźnie

który cię uderzył powinien być w twoim synku, gdy pacnął
cię niechcący rączką podczas zmiany pieluchy.

albo o tym, że jedyne kopniaki, które akceptujesz
to te z wnętrza brzucha.

albo o tym, że uderzenie można rozumieć metaforycznie,
typu: miłość uderzyła we mnie jak piorun.

tymczasem chuj mnie strzela, że ten chuj cię bije.

książę

w jednej bajce był taki książę – everypirnce z uśmiechem everyone.
książę karol w the crown wydawał się być odmienny, a książę zemsty
w the crow to brandon lee i jego zostawmy w spokoju.

kiedy przyszedłeś, skończyła się bajka. dobrze, że się nie uśmiecha,
nie wykonuje ruchów. abdykuje szybko – mówiłam w myślach,
ale ty nie czytasz, więc

stało się to, co zawsze. kilka pasm śluzu, zalepione uda, i twarz nałożona
na ciało jak u dublera, a potem spadanie,
spadanie,
spadanie.

Trójpak:

I. Martyna Buliżańska & Marcin Podlaski

Martyna Buliżańska – urodzona 6 stycznia 1994 r. na Kujawach. Debiutowała w konkursie Połów 2010 organizowanym przez Biuro Literackie, autorka tomu poezji *moja jest ta ziemia* (2013, Biuro Literackie), przełożonego i wydanego w USA, oraz *wizyjna* (2017, Biuro Literackie). Laureatka Nagrody Literackiej Silesius 2014 za najlepszy debiut poetycki. Jej wiersze publikowane były m.in. w czasopismach „Mayday Magazine", „Poetry Wales", „Past Simple", „Vozduch", „Nowaja Polsza", „Wakat". Tłumaczona na języki: angielski, rosyjski, ukraiński, litewski, łotewski. Mieszka w Londynie.

Marcin Podlaski – urodzony 2 stycznia 1993 r. w kujawsko-pomorskim. Członek Kolektywu Redakcyjnego kwartalnika „Rzyrador". Laureat Połowu Poetyckiego (2018) i OKP im. Haliny Poświatowskiej (2018), finalista Pracowni Pierwszej Książki Biura Literackiego (2019). Publikowany w antologiach *Połów. Poetyckie debiuty 2018*; *Wiersze i opowiadania doraźne 2019*; *Szwadron szwargotań. Nowa polska poezja protestu* (w tłum. na rum., 2019), oraz w czasopismach internetowych i drukowanych. W 2020 r. ukaże się jego debiutancki tom pt. *trzysta cytryn do trzeciej potęgi tygrysa*. Mieszka w Krakowie.

II. Witold Pozorski

Witold Pozorski – urodzony w 1997 roku w Gdańsku, mieszka w Sopocie. Filolog polski, menedżer, motocyklista. Poeta, animator kultury, współorganizator Festiwalu Literackiego Fala Poprzeczna. Do tego Polak, katolik i alkoholik, podobnie jak jego młodzieńcza fascynacja, Władysław Broniewski. Od komunizmu jak najdalej, jak najbliżej za to poezji i mocnych wrażeń.

III. Bianka Rolando

Bianka Rolando – urodzona w 1979 roku. Poetka i artystka sztuk wizualnych. Autorka książek: *Rozmówki włoskie*, *Biała książka*, *Modrzewiowe korony*, *Podpłomyki*, *Mała książka o rysunku, Łęgi, Pascha, Stelle*. Współpracuje z Galerią Foksal i Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie.

X

kropka nad i
daje dwukropek; idę.

od rozwartych drzwi dzieli nas *x*, gdzie
x to
koszt wypowiedzi. netto,
taki sklep, to jest piwnica,
znaczy skład piwa. za ile ten obraz,
monsieur? ot raz, pytam:

czego nie wiemy,
co ukrywasz między kruchym, niebieskim rysunkiem
a duchem nie moim? ruch gór,
byle sprawczy. rozśmiesz,
rozmów, roztrząśnij
sprawy najwyższej wagi,

a dalej? Wielkopowierzchniowe
słowo, unoszące się nad wodami
w skacowany poranek, kiedy

co odmętnione, zostaje domknięte.

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego płonie

Słup ognia strzela w powietrze,
a osmalone grzbiety książek w nim wirują.
Wir papieru sięga wyżej niż dach.

Płonąca biblioteka dołącza do gwiazdozbioru
innych płonących bibliotek.
To kolejny świetlik na ciemnej mapie świata.

Akt i fabryka w nocy

As you, I don't know what film it is,
but I know it's not a western

Powtórzone, ten mały chłopak pożarł wszystkie szkiełka
Pewnie nie ma pojęcia ile kosztują obiektywy, niech leci
klatka po klatce i masz wrażenie swobodnego przejścia
Rozbiera ponury krajobraz sobą, tego nie da się uchwycić
Budzi się zniekształcona snem, zastępuje figurę konika
potem szachownicę, po ciemku brak na niej drobiazgów
Zaznacza puste pola, bardziej niż nagie kaszlą zapadnie
drzazgi wbijają się w niemowlę, furkocze kołysane
obraca się w dziewięciu, w dziewczęciu nagim, szarym
Zacina się do krwi, powstaje, będzie karczować przylądki
Fabryka poklepuje po plecach, znaczy„naprzód kolego"
Uśmiecham się przedłużona, fabryka próbuje powtórzyć ruch
ale to nie wychodzi, za ciemne, za jasne są progi królestwa

PROZA

Adam Bąbel

Urodzony w 1996 roku w Gdańsku. Student filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim. Publikował tu i ówdzie, zazwyczaj jednak pod innym nazwiskiem. Zawodowo zajmuje się grami planszowymi, chociaż skończył technikum informatyczne i rozsądek mu podpowiada, że powinien być informatykiem.

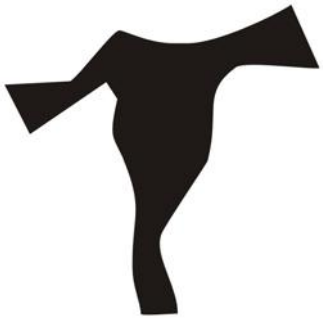

kroki

Krok. A za nim drugi i trzeci, i jeszcze kolejny. Daniel patrzy na swoje stopy, uśmiecha się. Ich ruch – jednostajny i powolny – poprawia mu humor. Spogląda w górę, wprost w ledwo się tlącą, wyciągającą światełko ku innym światełkom lampę, która oświetla – światełkiem-falbanką – połowę przystanku. Szpiczasta, czarno-ruda (rdza wżera się i wżera), trochę smutna, bo przecież samotna; jedyna lampa wśród ciemności poranka. Ta zwyczajna lampa potrafi sprawić, że Daniel się uśmiecha. Nie zdarza się to może z taką powszechnością jak uciecha na widok kroków, ale nie potrafi – w tym swoim porannym byciu – uciec od szczerzenia się do światła. Siada-przysiada na przystankowej ławce; ale w cieniu – poza falbankami. Ktoś przychodzi i siada obok; ale już w falbankach. On by nie potrafił – on się boi.

Podjeżdża autobus. W założeniu – przepiękny; w falbankach zaś – marny, blady, zwyczajnie nieatrakcyjny. Daniel podchodzi do drzwi, przepisuje swój indywidualny kod, który wiernie – od kilku już lat, bo pamięć przecież nie ta sama – trzyma w wewnętrznej kieszeni przykrótkiego płaszcza. Krok. Mały, duży, różnie; stanowczy i niestanowczy. Już jest Daniel w środku, siada na swoim miejscu, oddycha, nie oddycha, coś robi, nic nie robi. Zza okna jeszcze wpatruje się w epileptycznie tańczące cienie dogasającej latarni. Włosy brudzą się od brudnej szyby, spodnie brudzą się od brudnego siedzenia, w końcu Daniel cały się brudzi. Autobus jedzie powoli; spojrzenie-spojrzenie, błysk-błysk pomiędzy Danielem a chodzącymi, zrozumienie-niezrozumienie, bo nie do końca jeszcze się oswoił – nie do końca jeszcze zrozumiał.

W autobusie czuje spokój – spokój rutyny, wrastającego w niego konwenansu i wrastającej stagnacji. Bez tego nie będzie funkcjonować, bez tych znanych bodźców i doświadczeń nie sprosta kłodom rzeczywistości; jego sposób na przeżycie to opaska na oczy z napisem „proszę się zająć" – i ktoś się zajmuje, bierze za rączkę przestraszoną, porusza nim z większą pewnością niż on sam jest w stanie z siebie wydobyć. Nie ma tutaj oczywiście dosłowności, nikt Daniela nie prowadzi, fortuna żadna mu nie sprzyja; nie ma Daniel żadnych przewodników życiowych, a to branie za rączkę jest raczej stąpaniem wedle intuicji ścieżkami-deptakami, drogami-kanałami wcześniej już przeżartymi-wydrążonymi.

Oczka-skowronki wpatrzone w stukające o siebie kolana - ktuk, ktuk, niby cegła o cegłę, a to przecież relacja kośćmięśnieskóra-materiałmateriał-skóramięśniekość, zastanawia się więc, skąd ta pustota, skąd ta niechęć do pochłaniania-tłumienia dźwięków. Nie dojdzie do zrozumienia, nie w autobusie, bo w autobusie w jednym momencie patrzy na epilepsję kolan, a w drugim zastanawia się nad istotą wcześniej wypełnionych, a teraz pustych siedzeń – i nad ludźmi, którzy kiedyś wsiadali na tym samym przystanku co on i z nim podziwiali piękno sztucznego światła. Pamięta, że była w nim niegdyś świadomość ich znikania, że posiadał coś na kształt wiedzy. Teraz przeciwnie, bo patrząc na te siedzenia, ma jedynie poczucie wiedzy-nie-wiedzy, wiedzy zatraconej oraz – wiedzy o byłej wiedzy. Brak mu jednak substancji, miąższu przeszłości, który może wybrać i któremu może się przyjrzeć. Nie jest Daniel Danielem-sprzed-lat.

To piękno budynku, szklano-ceglanego, przezroczysto-odblaskowego, ciężko-lekkiego, biurowo-przemysłowego, do którego właśnie dojeżdża-przyjeżdża, jest pięknem już nieistniejącym, zatraconym gdzieś we mgle przeszłych wyobrażeń Daniela-sprzed-lat. Wstaje, ogląda się na spokojnie odwracających od niego wzrok uczestników-pasażerów, na ich książki-atrapy, słuchawki-atrapy, twarze-atrapy, życia-atrapy i widzi ich strach – albo wyobraża sobie, że to właśnie widzi. Daniel zawsze obiektywizuje własne doświadczenia.

wargi

Słońce już parzy skórę, parzy przymrużone oczy, bije po łysiejącej głowie, po polikach-bruzdach, po czole pełnym dolin, lgnie do czarnych spodni, do czarnej kurtki – do czerni zasmolonych brwi. Schodek, schodek, otwiera drzwi, wchodzi do przestrzennego środka, a tam zdziwienie, zdezorientowanie, bo nagle atakują go poklepywania, przytakiwania, gratulacje, atrakcje, skłony-ukłony, kurtuazja i nieznajoma szczodrość. Siada na obrotowym fotelu; przetarty materiał rwie się i pęka już właściwie, nie wytrzymuje cholerycznych podrygiwań, ciągłego wstawania-siadania, krzątania się i brykania w każdą stronę. Daniel przybliża się do stołu, patrzy na czystość, której nie poznaje; więc drga mu głowa jak u zszokowanego wróbla. Kręci głową i patrzy przed siebie, ponad biurko, ponad monitor. Orientuje się wówczas, że współpracownicy odgrywają jakiś szyderczy akt uśmiechu-zbiórki; wszyscy, jak zabawki-klauny w wyobraźni przestraszonego dziecka, oczkami świdrują jego szeroko otwarte oczka, wargami-ząbkami próbują wedrzeć się do ściśniętych niezdrowo krat-warg Daniela. Pierwsza myśl – to atak; druga myśl, spokojniejsza, uspakajająca spłoszenie – że to następstwo tej wcześniejszej kurtuazji, poklepywań niezrozumiałych. Chce zapytać, już dłoń podnosi w tym szkolnym konwenansie, już oko jedno mruży, brwi tańczą w zapytaniu, kraty-wargi niemrawo się otwierają, ale w końcu się wycofuje, speszony chyba, w umyśle tłumaczy sobie niestosowność swojego zachowania, nie będąc jednak świadomym niestosowności zachowania kolegów – żerujących i wzlatujących na swojej wyższości.

Daniel nie wie, za co się zabrać; obdarty z papierów-kotwic tylko zamyka i otwiera oczy, wzrok skupiając na wyciągniętych ponad brudną klawiaturę dłoniach. Przychodzi Szefunio. Uśmiech-uśmiech. Chłonie biurko wzrokiem, chłonie Daniela samym byciem, przeciera cienką górę monitora, telepiącą się dłonią, rozciera kurz pomiędzy palcami. Zaczyna się, mówi, a że odpowiedzi nie uzyskuje, to przechodzi dalej i prawi o powinnościach, o katastrofalnym zaniku tożsamości, o tym koniecznym bezpieczeństwie. Daniel przekręca głowę, wzrok jak nóż przecina brud piętrzący się pomiędzy klawiszami; na Szefunia nie patrzy, Szefunio dla niego nie istnieje - a nawet jeśli, to tylko jako mucha niedająca się zbyć machnięciem ręki. Szefunio rozumie, kładzie prawą dłoń na prawym barku Daniela, lewą na lewym i ściska po ojcowskiemu, wbija

pazury niby przycięte, a jednak ostrzejsze od drzazg. Znowu – kazanie. Mówić tak będzie do skutku, do końca dnia nawet, żeby tylko Daniel zrozumiał, żeby tylko się tym nie przejmował. To rytuał szefuniostwa, konwenans niby-kurtuazyjny, prawie-współczujący; każdego Szefunia spotyka w końcu ta sama powinność i – niezależnie od usposobienia – każdy Szefunio prędzej czy później przerabia tę konieczność w rytuał-rytm.

– Tak?

Daniel wzrusza ramionami.

– Chyba tak.

– Promyk.

– Rytuał.

– Nadzieja!

– Rytm.

– Wszystkiego najlepszego.

– To jutro.

– Jest jak dzisiaj!

Daniela słowa są niby nie jego, a jednak je wypowiada. Przez to zapomnienie-niezręczność czuje się, jak gdyby dostał butelką po łbie – butelką, która nie pękła przy pierwszym uderzeniu, przy drugim uderzeniu, przy trzecim-czwartym-piątym-szóstym, przy każdym następnym, w konsekwencji zastała w tym porównaniu i w nim też bez ustanku uderza i będzie uderzać w czaszkę Daniela. Ktuk, ktuk. Samarytanin z tego Szefunia, tak; uśmiech rozsadza mu twarz, twarz rozsadza mu czaszkę, czaszka rozsadza atmosferę. Daniel ma ochotę uciec, spierzchnąć gdzieś w dal niczym sarenka złapana na przydrożu. Wstaje-stoi plecami odwrócony do Szefunia, którego ciężkie dłonie ciążą mu nadal na barkach, ale oddechy-sapnięcia Szefuniowe wgryzają się teraz – konsekwencją zmiany ułożenia – w Danielowy kark. Daniel się odwraca, przytula Szefunia, beznamiętnie przytakuje. Szefunio rozumie, dużo u niego nachalności-kurtuazji, kamuflażu-sztafażu, tej przedziwnej atmosfery niewiedzy, przeradzającej się w coś na

kształt enigmatycznej pompatyczności. Nadzieja, promyk! wszystkiego najlepszego! wszystkiego najdroższego! walących się wysp tyranii! zapachów zwycięstwa! urodzin-narodzin! A przecież Daniel urodziny ma jutro, więc dopiero jutro powinien się w tę sztuczność wtapiać.

Szefunio wyjmuje z kieszeni marynarki kartkę; chwilowa kotwica, potrzebna jak nigdy. Wkłada ją w rozbrykane dłonie Daniela, zmuszając je w ten sposób do uspokojenia; kartka-kotwica, kartka-spokój. Obaj kierują na nią wzrok, na małe literki rozsypane po jej powierzchni, nieposiadające żadnej prawidłowości, żadna relacja znaków nie jest wiążąca, zatem Daniel rozumie, że uprasza się go jedynie o podpis, o niezwłoczną przysięgę; brak sensu w składni nie odbiera komunikatowi żadnego znaczenia, ponieważ kontekst całego zajścia dostarcza Danielowi wszystkich potrzebnych informacji do zrozumienia przekazu; Daniel doskonale rozumie Szefunia.

Dłonią sięga za siebie, poszukując szufladki biurka. Gdy ją znajduje, wcale nie bez-problemowo, wyciąga z niej długopis. Wpatrzony w uśmiech Szefunia podpisuje kartkę powolnym ruchem dłoni – jak gdyby szkicował, jego bezczelnie uśmiechającą się twarz. Cisza, którą mąci tylko dźwięk zaginanej kartki, wrasta w ich obu, jednak tylko Szefunio czuje zażenowanie. Daniel zna jedynie kontekst zajścia, Szefunio natomiast zna również podkontekst i metakontekst. Daniel myśli, że został bez pracy; Szefunio wie zaś, że został Daniel bez życia, że został Daniel zjedzony, pochłonięty przez świat poza-Szefuniowy.

– Dziękuję, no. Poszedłby pan coś zjeść, dzisiaj już tylko odpoczynek.

– Jestem wypoczęty.

– Myśli pan, że jest wypoczęty!

– Czyli jestem.

Szefunio kręci głową, mruży oczy, nerwowo się uśmiecha. Rozgląda się zaraz po innych pracownikach, cały czas zastałych w tej koszmar-klaun mimice, aby znaleźć w nich jakieś oparcie. Jednak pomoc przychodzi od samego przeciwnika – Daniel siada, krzyczy przeciągłym westchnieniem, przytakuje, bo faktycznie: twierdząc o byciu wypoczętym tak naprawdę niby-twierdzi, dla samego siebie jest kłamcą, może dla wygody-swobody, może dla podniesienia-uduchowienia; to nieważne, ważny jest sam akt kłamstwa, pod którym kryje się zaobserwowane przez Szefunia zmęczenie.

– Pójdzie pan zatem? Do stołówki, na fotelu wygodnym pan usiądzie, rozgości się ten ostatni raz. Jak Faux przed panem. Jak Faux. A później poszuka pan wyspy.

Szefunio ponownie kładzie dłoń na barku Daniela – jak ojciec-matka, zrozumienie-potępienie, przymilenie-wygnanie.

– Rozgoszczę – mówi Daniel, przy okazji wstając-kiwając. – A później poszukam.

Odchodząc, próbuje nie patrzeć na współpracowników-klaunów, na ich uśmiechy-bebechy. Wychodzi więc odwrócony tyłem, nie spuszczając wzroku z Szefunia, kiwającego teraz głową tak entuzjastycznie, jak gdyby spotkało go największe szczęście – coś więcej niż wygrana na loterii. Konwencja zadziałała, Szefunio uwolnił się już od powinności, zrzucił chamstwo na barki innych.

barki

Drzwi-drzwi-drzwi-drzwi. Wchodzi do pokoju naprzeciw, wielkiej sali-jadalni, pełnej machających głowami ludzi, śmiejących się, zabijających czas nie-czasem, w tej tylko sferze będących szczęśliwymi. Daniel rozumie – lub kiedyś rozumiał. Rozrysowując kontrast pomiędzy Danielem-dzisiaj, a Danielem-sprzed-lat, najwidoczniejszym elementem, poza pamięcią-niepamięcią i pięknością-niepięknością, jest zupełnie inne podejście do życia. Daniel-dzisiaj jest człowiekiem obiektywizującym swoje doświadczenia, bucem przenikającym przez struktury interakcji międzyludzkich, niczym nóż przez masło, pozostawiając masło w tyle, samemu spadając od razu do zlewu, snobem-nad-snobami niezdającym sobie ze swojego snobizmu sprawy, idiotą-starcem nierozumiejącym żadnego niewłasnego faktu; Daniel-sprzed-lat jest natomiast człowiekiem subiektywizującym własną rzeczywistość, dlatego pracownikiem w Szefunia firmie, jest również miłością otaczających go ludzi, archetypem idyllicznej interakcji, bo człowiekiem pełnym skromności i nieprzesadnej samokrytyki, jest geniuszem-młodzieńcem, rozumiejącym zależność punktów widzenia. Kontrast pomiędzy Danielami zaczął nakreślać się jakoś po stracie włosów, a naprawdę wystrzelił po odejściu Fauxa.

A właśnie, Faux! – myśli sobie Daniel. Szachrajstwo popłaca w odpowiednich warunkach, w poprawnie użyty makiawelizm przestaje się ciskać obelgami, kłamstwo sformułowane adekwatnie do sytuacji nie będzie już kłamstwem. Faux w oczach Daniela-sprzed-lat był właśnie tym: ideałem niemoralnych-moralnych postępowań. Każdy jego ruch, podszyty kłamstwem-chamstwem, był ruchem koniecznym i bezpiecznym; każda myśl, każda idea wygłaszana-wypisywana, każde spojrzenie, każdy wdech-wydech, każdy uśmiech, każdy odgłos wydany-domniemany; słowem wszystko. Ideał z bajek, które oglądał Daniel-sprzed-lat; ideał z bajek, które chciałby oglądać i rozumieć Daniel-dzisiaj. Faux zdążył odejść tuż przed oświadczeniem Daniela-sprzed-lat, że ten będzie szedł w ślady Fauxowatego ideału – w kłamstwo mądrości. Oczywiście odejście wszystko zmieniło i oświadczenie stało się w odbiorze kolegów-klaunów nieśmiesznym i niepoważnym żartem.

Siada. Fotel-motel jest względnie wygodny, bo wcześniej już wygnieciony przez Teraz-siedzącego-przy-barku. Daniel uśmiecha się do jego pleców, do pokrytej pięknymi włosami potylicy, do opinających uda spodni, do całej tej pięknej-młodej fizjonomii.

Teraz-siedzący-przy-barku odwraca się, uśmiecha do Daniela, podchodzi do niego, tym samym staje się Wcześniej-siedzącym-przy-barku, siada naprzeciw i podaje Danielowi swoją młodą dłoń. Uścisk-zrozumienie. Przytaknięcie Wcześniej-siedzącego-przy-barku świetnie zgrywa się z Danielowym uśmiechem nieśmiałości. Patrzą na siebie, najprawdopodobniej nie mogąc znaleźć odpowiednich słów; Wcześniej-siedzący-przy-barku nigdy nie przykładał znaczącej wagi do brudnych, więc nigdy nie musiał uczyć się konwencji rządzących rozmowami z nimi. Teraz zaś, wpatrzony w uśmiechającego się Daniela, zaczyna rozumieć, że wpadł w bagno-szambo. Nie ucieknie, musi stoczyć ten bój konwenansów, uformować się pod nową sytuację, uplastycznić empatię dla kogoś takiego jak Daniel. Gdyby Daniel miał o wszystkim czyste pojęcie, pomógłby Wcześniej-siedzącemu-przy-
-barku, ale że jego umysł jest zabrudzony, to nie rozumie dziwnych zachowań znajomego-nieznajomego, czyli tego nowo powstałego matczynego uśmiechu, tego niezręcznego poklepywania po plecach i dziwnego przytakiwania.

– Nie myślałeś o tym, żeby pójść jak Faux?

– A jak poszedł Faux?

Wcześniej-siedzący-przy-barku wzdycha, kręci głową, wierci się w miejscu – robi wszystko, co mogłoby uświadomić, że czuje się niezręcznie. Nad Danielem to jednak przelatuje – wyzbyty jest już kontekstów kultury interakcji, jest już jedną stopą w podkulturze. Gdyby tak wyciągnąć z niego faktyczne uczucia, niesplamione brudem umysłu, niesplamione wpływem otoczenia, dałoby się dostrzec niezdrowe aż chętki do posiadania wiedzy. Wcześniej-siedzący-przy-barku dobrze o tym wie, widzi to zapewne w mglistości wzroku Daniela, w ogólnym zdezorientowaniu, w tańczących kolanach (ktuk, ktuk, ktuk), w tych nader szybkich wdechach-wydechach.

– Wiesz…

Wcześniej-siedzący-przy-barku wzrusza ramionami, odwraca wzrok, drapie się po głowie, coś tam jeszcze robi.

– Samotnie. Godnie. A w tej godności – autonomicznie.

– Jestem autonomiczny.

– Masz rację, tak, tak.

Ponownie patrzy prosto na Daniela, szukając jakiejś anemicznej chociażby nici porozumienia, jakiegoś wystającego kawałka charakteru, o który mógłby się Wcześniej--siedzący-przy-barku zaczepić. Nic.

Siedzą tak jeszcze przez jakiś czas w ciszy. Patrzą. Jeden myśli, drugi się zamyśla. W końcu Wcześniej-siedzący-przy-barku wyciąga z kieszeni karteczkę i długopis, zapisuje na niej niedługi numer i podaje Danielowi. Ten bierze właściwie bezwiednie, pchany raczej instynktem niż aktem faktycznie rozumnym.

– Będziesz mógł wrócić do domu.

Patryk Czarkowski

Urodzony 1982 r. w Białej Podlaskiej. Poeta, autor opowiadań. Publikował m. in. w „8. Arkuszu Odry", „bibliotece", „Frazie", „Tlenie Literackie" i „Zeszytach Literackich". Autor dwóch książek poetyckich: *Precyzja roślin* (Universitas, Kraków 2015) i *Czekamy* (WBPiCAK, Poznań 2017). Mieszka w Krakowie.

Szczęście albo kartka

Poznałem kiedyś człowieka z pewnym problemem. To było jeszcze w Białej, na szpitalnym oddziale pielęgnacyjno-opiekuńczym, ostatnim miejscu pracy mamy. Kilka razy, kiedy wpadałem do niej po coś, widziałem przez okno wychodzące na patio starego faceta, który kręci się po trawniku wokół (będącego pewnie w podobnym wieku) modrzewia. Niby nic, ale było tak: raz czy dwa – zobaczyłem, że układa przy nim szyszki. Nie kilka, kilkanaście – ale najwyżej dwie. Układa i odchodzi kawałek; przygląda się. Nie za każdym razem widziałem, jak układa, czasem tylko był w pobliżu. Drobna czynność, a nie dawała mi spokoju przez swoją powtarzalność i – jak sądziłem – brak sensu. I za którymś razem, kiedy zagapiłem się na niego, zauważył to; skinął na mnie żebym podszedł.

– Głupie, nie?

– Nie wiem… może nie, tylko – co pan właściwie robi?

– Układam i poprawiam sobie szyszki. – Mówił wyraźnie i powoli. Mówił w sam, jak to mówią, raz.

– Ale po co?

– No właśnie po nic. Układam, bo mogę; jest zmiana, coś się dzieje i ja nad tym panuję; nieprzypadkowa zmiana. Rozumiesz?

Wtedy nie rozumiałem. Wykonywanie tak zwanych niepotrzebnych czynności – co o tym myśleć? Facet był dobrze po osiemdziesiątce; raz w tygodniu odwiedzał go ktoś z rodziny – najczęściej wnuczka. Czy to były początki obłędu? Czy raczej kwintesencja wolności?

Z jakiegoś powodu przypomniałem sobie o tym kilka lat później – kiedy matka już leżała w lubelskim szpitalu. Na kartonie formatu A4 zacząłem stawiać cztery kropki dziennie. Najpierw rogi – po jednej w każdym. I zamierzałem dostawiać, codziennie, tuż obok – kolejne i kolejne cztery. Sześćdziesiąt dwa tysiące trzysta siedemdziesiąt kropek, żeby zapełnić tę kartkę. Co dawało (mnie) czterdzieści dwa lata (z hakiem) codziennego stawiania kropek; matce – życie do dziewięćdziesiątki… Zakropkowałem niespełna trzy i pół centymetra kwadratowego; kartka A4 mieści ich przeszło sześćset dwadzieścia.

Nigdy przedtem matematyka nie wydawała mi się tak bliska życia… To były cztery „ażurowe” plamki wielkości paznokcia – po jednej w każdym rogu kartki.

Właśnie wtedy zaczęło docierać do mnie, że z nowotworami jest coś nie tak. Wykazują brak instynktu samozachowawczego; a my wobec nich brak empatii. Nikt nie buduje tyle, nie namnaża, nie tworzy – tylko po to, żeby powodować śmierć. Tylko po to. Nowotwory to więcej niż kamikadze, więcej niż „DAESZ”. Są przerostem formy nad śmiercią… Czy może jednak śmierci nad formą? Rachunek musi się zgodzić – im więcej życia, tym więcej śmierci. Tylko po co to mnożyć? Matka umierała kilka miesięcy. Która to już matka!!!? Trochę w Lublinie, troszkę w Białej. Nie pamiętam, w którym momencie, ale w końcu dotarło do mnie… Dotarła do mnie absurdalność tej choroby; jej dziwny, samobójczy charakter. Co, jeśli nowotwory są po prostu zaraźliwe – wszystkie. Tylko, że niewiele z tego mają. Nowotwory są ofiarami wirusów. Ich nosicielami. Bliżej nam do raka szyjki macicy niż jemu, do wirusa brodawczaka ludzkiego, bo i człowiek i nowotwór zdają się być tylko jego narzędziami. Wirus przemieszcza się, mnoży – jednych nosicieli zabija innych oszczędza; nie ma w tym litości; jest raczej wyrachowanie. Nowotwór rośnie potężnieje, karmi się żywicielem – zabijając go, podcina gałąź, na której siedzi. Wirus poleciał dalej, ale tkanki nowotworu zdechną razem z umierającą trzydziestoośmioletnią kobietą. Ten konkretny nowotwór nie przeniesie się dalej. Wirus wyhodował go na nas i przeniósł się. Właściwie – przeniósł się wcześniej. Pytanie o śmierć nosicielki jest więcej niż zasadne. Po co umiera i dlaczego kobieta?

Czy nie przypominamy nowotworów? Przenosimy śmierć jak ogień olimpijski – do boga, od boga. Co jeśli coś nas po prostu hoduje? Co, jeśli to dzieje się od początku? Naszego początku.

Nie pamiętam – dwa czy trzy tygodnie przed śmiercią, matka opowiedziała mi sen: wybrańcami, najszczęśliwszymi ludźmi, byli ci ze stwierdzonym nowotworem i wyznaczonym, pewnym, terminem… Wiedzieli, że mieli trzy lata, półtora roku, pół. Wiedzieli, że – cokolwiek by się nie działo – panują nad życiem. Że mogą zrobić z jego resztą dokładnie to, czego pragną. Nie zabraknie im pieniędzy; nie zachorują śmiertelnie drugi raz; nie dożyją demencji. Są wybrani. W świecie, w którym podobna choroba dotyka znikomego odsetka populacji – byłby to powód do załamania. W świecie, w którym czeka to prawie wszystkich… stali na szczycie hierarchii.

Magdalena Czubaszek

Urodzona w 1989 r., gdańszczanka, tropicielka miejskich legend, okazjonalna slamerka, wielbicielka Gary'ego Hella, punk rocka i kolażu, zamieszkująca podwarszawskie Tworki.

Igła

Dorośli są przyzwyczajeni, a dzieci zawsze dziwią się tak samo: motor, samolot, facet w żółtej czapce, piesek, hałas, obcasy uderzające w chodzik. Pierwszy raz jednak nie czuję zawstydzenia mijając kolumnę złożoną z osób z zespołem downa. Nie tyle, że wiem, że nikt mnie nie zaczepi, nie popchnie nerwowo ręką, czy nie zechce całować nagle i gorąco. Oni wszyscy teraz się odwrócili, jakby widzieli taki obrazek pierwszy raz, bo istotnie było to pierwszy raz. Żaden inny raz nie nastąpi w takiej kombinacji. Zblazowanie w stolicy to rzecz normalna, tak więc tym bardziej cenię sobie nienormalność jako odruchy człowieka o żywym i twórczym wobec otoczenia umyśle. Droga dalej nie jest już po tym zdarzeniu taka zachwycająca. Białe linie ciągną się rutynowo, jedna za drugą, wszyscy jadą to tu, to tam, a wiatr w odczuciu rywalizacji stawia opór, słońce leniwym łukiem wznosi się na drugą stronę. Mijamy rzeczy, bloki, przystanki, wiaty, pieszych, rowerzystów, długo, długo dźwiękoszczelne kurtyny oddzielające ruch od braku ruchu. W prędkości wszystko robi się płaskie, a w umyśle panuje stupor, dlatego interesujące są tylko zatrzymania, jak drgawki, wyplucia, ukłucia, choć dla niektórych bolesne.

Zeskakuję z motocykla i biegnę do pokoju nr 19: pobieranie krwi. *Chłopcy, wejdźcie, kochani, proszę razem* – zwraca się pielęgniarka do dwóch pięciolatków. Jeden podnosi głowę i mimo strachu maszeruje dumnie naprzeciw ukłuciu. Drugi chowa się za kolanem taty: *Nie, ja nie chcę*. Wszyscy siedzą przepisowo. Jest cisza. Kiedy wychodzi mały ściskając wacik nasączony woda utlenioną, jak buławę zwycięstwa. *Taki dzielny – nawet nie płakał!* – zwraca się dumna babcia do sali. *A teraz ty kochanie*– znów słychać głos pielęgniarki, która klęka zdecydowanie obok chłopca B. *Dasz radę* – przebiega mi myśl w jego kierunku, jak modlitwa, bo sama wcale nie mało boję się igieł. Ze środka początkowo słychać protesty, najpierw ciche, potem nieco głośniejsze, aż wreszcie, jak rwąca lawa wybucha płacz, który piłuje uszy wszystkim siedzącym w poczekalni. Nikt nic nie mówi. Od czasu do czasu, ktoś ściągnie brwi albo podbródek opuści w dół, kiedy mały jodłuje już na całe piętro w proteście i nie ma jak od tego uciec ani zatkać sobie uszu.

Moja igła wbija się tępo i leniwie, ból jest pusty i już wiem, patrząc w drugą stronę, że pielęgniarka nie może trafić. Trwa to długo, coraz dłużej. *Nie leci* – słyszę

półprzytomna zza pleców. *To mam przejebane* – ostatnia myśl spada w moim umyśle i jak wahadełko kołysze mnie do snu.

Dopiero potem zamglona czuję pewną jasność, fantazję. Wychodzę, a po ulicy wszyscy chodzą bez krzyku, nawet z kontrolowanym śmiechem. Wszystkie sprawy, wyzwania, godziny 8-17, plany, podróże, kolejne ptaszki odhaczane na liście, na moment, jak te waciki zwilżone wodą utlenioną – małe zwycięskie buławy. A potem jest spokój. Długo nic się nie dzieje. Wracam do domu pociągiem. I ktoś podnosi głos: *Mati, nie śpij* – żartują wysoko koledzy z downem, to ta sama wycieczka. – *Chuchnij! Patrz najebany*! Aż przychodzi uspokoić towarzystwo nauczycielka klasy. – *Wysiadamy*.

Zaraz zrobię kakao

W wiecznym niedoczasie, wiadomo jak jest: kawa nie smakuje albo parzy w język, a przerwa na lunch jest jeszcze bardziej stresująca niż sama praca. Kolorowe lampki na dachu zapewniają jednak, że wszystko spoko, jakoś to będzie, miło. Jestem dziś kurwa tak fajna i kolorowa, że zwyczajnie nie mogę tego unieść, a żaden papieros, nawet ten najgrubszy, nie potrafi mnie stępić. Czekam końca dnia, by wreszcie wylądować poza strategią firmy na śmietniku historii.

Znajomi siedzą w ogrodzie i mówią niedbale o Hawkingu, jak teoria kwantowa wpływa na nasze rozstania i związki. Pewnie możnaby nakreślić ten temat sprawniej, zrobić z tego historię, ale oni nie są diabłami. Mówią, bo mówią, a słowa przelatują przez druty płotu do sąsiadów. Włącza się znów ten dziwny niedoczas i brak snu na rozkminy o świecie, co wspólnie działa na nas wyzywająco.

– Jak na kolanach – mówi Luda.

– Zaraz zrobię kakao – dopowiadam.

– A ja ugotuję w garnku parówki tak, że popękają – kończy Nichał i się śmiejemy jak byśmy byli na kolonii. No a potem znów wraca myślówa, życiowe partie można zawsze dowolnie rozegrać.

– Ty go nie kochasz – trącam ją.

– Kocham – odpowiada Luda. – Zostawiłam u niego rzeczy.

– Kochasz Meksykanina, który ma kurwa wyspę – tłumaczę – wszystko dlatego, że się z nim kilka razy napiłaś.

– Miałam z nim żyć. Wrócić. Tam oddychać.

– Ale jakoś nie kupił ci biletu.

– Jakoś muszę to zakończyć, żeby wiedział, że taka nie jestem – mówi L.

– Co ty chcesz kończyć? – pytam. – Wszystko skończone.

I znów widać w jej oczach dziecięce łzy i szczery ból, który płynie tak samo mocno jak radość. Puszczam kawałek Shilpy Ray i tańczymy przy otwartych drzwiach. Ślina znika nam z gardeł, a kawałki nachosów przyklejają się do skarpetek.

– Musiałaś zrobić to guacamole!? – Nagle wybucha L. w moim kierunku:– Kupić to jebane awokado?!

Czekam aż dalej rozwinie myśl i zrobi się zachwycająca.

– Przecież kojarzy mi się z Oscarem – jęczy – on uczył mnie robić tę pastę. Nie dałaś tu kurwa pomidorów.

– To świetnie – chwilę się nad nią znęcam – dobrze, że nie uczył cię oddychać ani myśleć, bo mielibyśmy w tej chwili poważny problem.

Krzyżujemy na moment spojrzenia, brwi opadają nisko w rodzaj półpauzy, z której nie wiadomo czy będzie kwas czy jednak beka.

– Moim zdaniem to po prostu prawo wielkich liczb – odzywa się Nichał, a ja dostaję ataku czkawki – widzisz to, co chcesz zobaczyć, widzisz świat jako projekcję własnych myśli, wybierasz odpowiedni format interpretacji tak, że nawet już awokado nie jest tym czym było.

I dalej tak ze sobą tańczymy i nawzajem się głaszczemy, dogryzamy i wyrażamy podziw. Wciąż jednak nie mówię im wszystkiego, kiedy nad ranem, zupełnie na trzeźwo, kładziemy się do łóżka. Nie mówię o ich ciałach, jednym miękkim i soczystym, drugim drgającym i zawstydzonym. Dotykam ich skóry, z których każda ma swój własny zapach, ocieram się o nie, jak dachowiec, który jednym gestem zgarnia kolejną pulę terytoriów. Nasze dłonie łączą się w opuszkach, pulsują po sobie leniwie jak źdźbła trawy, do której można przyłożyć usta i grać. Te ruchy i zapachy tworzą nasze miejsca. W poniedziałek znów przyjdzie nam je stracić.

Pijalnia czekolady

Wzorzysta, namokła od ciężkich brązów koszula Michała, która równie dobrze mogłaby zakrywać włochatą pierś jakiegoś plantatora tytoniu, teraz zdobi wnętrze pijalni czekolady. Długie, smukłe sufity i ściany przyduszone ciężkimi gablotami na nóżkach puszczają sobie oko. Weszli ludzie. Będą wydawać pieniądze.

Wyborny pomysł nadawał szyku wielebnym meblom i gustownym, zadartym wystawom, w których pierwszych skrzypiec nie grały praliny a czekoladowa słonina i torciki wedlowskie. W takim miejscu zawsze dobrze zakląć, rzucić kilka siarczystych zdań o klasistowskich zwyczajach i zaszytej w każdym z nas agresji, a świąteczna aura szybko ustąpi miejsca i zacznie kołysać biodrami jak tania zabawka. Z radością wtedy przyjdzie odegrać role klientów i sprzedawców, kelnerek i pomywaczy, którzy porzucili marne zwyczaje dorosłych i postanowili z łykiem chałwowej, gorącej czekolady spojrzeć w stronę własnego dzieciństwa.

Była w nim jedna kredka, która leżała zawsze schowana w szkolnym piórniku przyjaciółki. Czerwona. Obracałam nią w palcach, a w końcu pojawiał się wyryty na niej napis: „Kocham śmierć, bo tylko ona na mnie czeka". Pamiętam, że lubiła Terry'ego Pratcheta.

– Ale emo – mówi Gati, a N. szereguje w tym czasie wszystkie przedmioty na naszym stoliku, realizując pilną potrzebę kompulsywno-obsesyjną, gdy moim oczom ukazuje się wątły i załamany kawałek żółtej świecówki, który walcowatym ruchem ślizga się po powierzchni lakierowanej krawędzi.

– Kredka! – nagle wszyscy krzyczą. Zwyczajnie ich pojebało, kiedy zaskakujący obiekt dopada już krańca stołu.

– Zobacz, zobacz co jest napisane – poleca Luda.

Łapię ją blisko w palce i przyciągam nieco do siebie, widzę, że świecówka ma jeszcze kawałek papierka, etykiety, zwiastującej, jak wszystko w tym lokalu, jej właściwe pochodzenie.

– Nic, nic tu nie jest napisane – oświadczam uroczyście, a wszyscy zagryzają usta i czują, że się zwyczajnie wygłupili, prosząc, aby ten wieczór był trochę czymś więcej.

Miron Kądziela

Urodzony w 1994 r. Student filozofii, absolwent Collegium Medicum, publikował publicystykę m.in. w „Popmodernie”, „Artpapierze”, „Filozofuj!”, a prozę w „Helikopterze” i „Drobiazgach”. Mieszka w Krakowie, ale tak naprawdę to w Nowej Hucie.

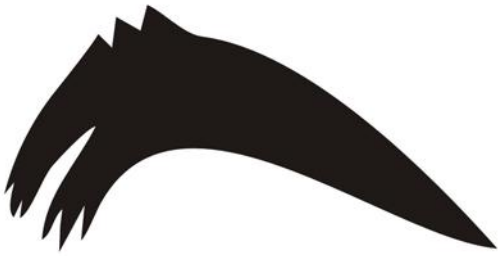

Supeł

Siedzieliśmy w kawiarni, przy stoliku pod oknem, naprzeciwko siebie. Na zewnątrz tańczyły brązowe liście, ptaki biły o szybę. Byłem wstrętny. Ona też. Na krzesłach powiesiliśmy płaszcze. Kawiarnia była niemal pusta, poza nami siedziały w niej tylko dwie starsze panie, rozgdakane, potakujące sobie wzajemnie i kręcące palcami w plotkarskim uniesieniu.

Nie wiedziałem, co jej powiedzieć, więc zacząłem od siebie.

– Coraz częściej, gdy chcę odpukać coś złego, okazuje się, że nie mogę nigdzie w pobliżu znaleźć niemalowanego drewna. Czuję wtedy jakbym się bał czegoś, ale nie wiem czego, taki impuls, taki odruch niedokończony.

Przełknąłem ślinę i zwilżyłem wargi. Ona na to zaciągnęła się mocno kiepem aż po filtr i zgasiła go w popielniczce, zgrzytając popiołem o szkło.

– Wiesz, ostatnio czytałam w internecie o jakiejś tam książce, że autor czerpie z Nabokova i wiesz, byłam ciekawa co z niego za kosmopolita i metafizyk, a to się okazuje, że to postmodernizm – zaśmiała się trochę. – Jeśli ktoś ci powie, że wzoruje się zarazem na Nabokovie i na Calvino, to znaczy, że kompletnie nie interesuje go to, co do powiedzenia ma Nabokov – wzruszyła ramionami.

– Różne są strony Nabokova – uznałem.

– No dobra, ale wiesz, jak już się mówi, że się czerpie, to trzeba zaczerpnąć więcej.

Spróbowałem podejść ją z innej strony.

– Często myślę o tym jego mieszkaniu z *Króla, damy, waleta*, tym, co główny gościu w nim mieszkał w Berlinie. Jak to pierwszy raz czytałem, to bardzo zmysłowo zadziałał na mnie jego opis, wyobraziłem sobie te wszystkie pokoje, meble i tego waleta uwięzionego między tamtą właścicielką, a bezpieczeństwem swojego pokoiku. Czasem mój umysł tam wraca, zwłaszcza gdy nie mogę znieść rzeczywistości.

– To jakby Haneke definiować jako postmodernistę. Wiadomo, że nakręcił filmy postmodernistycznie, lecz zdecydowanie nie jest to sedno jego twórczości, jego dziedzictwo nie jest tylko postmodernistyczne. Podobnie jest z Nabokovem, no nie?

– Pewnie tak.

Czułem, że jesteśmy supłem, zaciśniętym i nierozplątywalnym, a każda moja próba jego rozwiązania doprowadzała jedynie do jeszcze głębszego impasu, zastoju, zakropkowania naszych oderwanych od siebie zdań.

Tak już byłem zmęczony tą rozmową, że wstałem i zacząłem ubierać płaszcz.

– A gdzie ty idziesz nagle? – zapytała zmartwiona. Odpowiedziałem, że powinniśmy się już zbierać do domu, bo kawy przecież dopite i nie ma sensu siedzieć. Wstała też i założyła wielki szal i płaszcz. Poszliśmy spacerem na mieszkanie, w drodze spaliliśmy po papierosie. Z powodu dojmującej i nieznośnej dla nas obu ciszy, rozpoczęła dalszą szarżę, tym razem o jakimś Francuzie, który tworzył tuż po wojnie i chciał być marksistą, ale ci marksiści go strasznie nie chcieli, bo on ich beształ ontologicznie. Doszliśmy w końcu pod blok.

Ostatnio zdecydowaliśmy się rozdzielić nasze mieszkanie. To znaczy – był wspólny przedpokój, a w nim dostęp do wspólnej kuchni i wspólnej łazienki, lecz pokoje, które wcześniej były salonem i sypialnią, stały się teraz dwiema osobnymi sypialniami, a na drzwiach do nich prowadzących były zamki. Pożegnaliśmy się i weszliśmy do swoich pokojów. Usłyszałem, że włączyła serial i położyła się na wersalce. Był już wieczór, więc najpierw poszedłem pod prysznic, a później także rozłożyłem się na łóżku i wziąłem się za książkę.

Rano spotkaliśmy się w kuchni. Wyraźnie czuć było jej napięcie pod skórą, węzeł zaciskał się coraz mocniej, naciągał ją tak, że wyglądała jak kukła z zaplątanymi sznurkami. Powykręcane, zmierzwione, skołtunione ręce wiły się między piersiami, krzywe nogi łączyły się w kolanach, szyja puściła w szwach i dyndała zawieszona na niej głowa.

Stała tak i patrzyła na mnie do góry nogami. Zapytała, czy mam papierosy. Odpowiedziałem, że tak, mam, i poczęstowałem ją jednym camelem, który położyłem na stojącym między nami kuchennym stole z wytartym seledynowym blatem. Chwyciła papierosa palcami powyginanymi we wszystkie strony i wsadziła do ust. Spaliliśmy po jednym zajęci swoimi sprawami, coś bąknąłem na pożegnanie i odszedłem.

Jeszcze przez wiele dni wiliśmy się tak jak węże wokół swoich słów i czynności, wyliniali, wspominając już nie ślinę, lecz tylko jej schnięcie na wargach. Nie mogłem już

smakować starych plam, wspominać tamtych ruchów. Szukałem więc nowych słów, nowych doświadczeń.

Można powiedzieć, że praktycznie to właśnie wtedy zerwaliśmy ze sobą, przy tym seledynowym stoliku. Mieszkania jednak nie zmieniłem, bo było mi tak wygodnie. Za to przynajmniej udało mi się całkowicie wysupłać, byłem teraz spokojniejszy. Niedługo później znalazłem kogoś nowego, była to koleżanka ze studiów.

Mieliśmy razem zajęcia z filozofii starożytnej. Miała zielone włosy i kolczyk w nosie. Ja sam raczej nie chciałem wyróżniać się z tłumu, więc było to dla mnie imponujące, ten jej wizerunkowy krzyk. Szalenie mnie to kręciło i dużo myślałem o tym, co mógłbym robić z tymi włosami.

Usiedliśmy w kawiarni.

Najpierw rozmawialiśmy o prowadzącym zajęcia i trochę na niego ponarzekaliśmy, później chwilę o pogodzie, o krakowskich gołębiach, bo akurat jeden przeskakiwał obok za oknem. Następnie o tym, że zrobiła jej się dziura w bucie. Przez to mi się przypomniało, jak miałem tak samo i zmokła mi tylko jedna skarpeta, gdy spadł deszcz. Powiedziałem jej o tym. Później rozmowa się trochę urwała, a kawa nawet nie zdążyła wystygnąć. Wspomniałem więc o tym, że np. czosnek jest niepoliczalny, co uważałem wręcz za szokujące, ale ona uznała to za głupie i niewarte uwagi. Z racji tego, że znaliśmy się z filozoficznych studiów, uznała, że jej wywód będzie bardziej zasadny:

– Ostatnio o tym myślałam, że w sumie od początku filozofii człowiek stawiał się ponad wszystkim, a teraz brakuje dla niego miejsca. Tylko, że to jest prawda! Praktycznie kilka tysięcy lat zajęło nam dojście do prawdy, że między nami a innymi zwierzętami nie ma takiej jasnej granicy. Oczywiście biologicznie się różnimy tak, jak inne zwierzęta się różnią od siebie, ale żeby zrozumieć, że posiadanie i nieposiadanie umysłu to nie jest taki zerojedynkowy podział musieliśmy przejść ogrom nudnej i niepotrzebnej dziś filozofii. Człowiek po prostu nie może stawiać się etycznie ponad inne zwierzęta, bo nie ma podstaw. Inna sprawa, że ten prymat rozumu jest dalej wiodący, w sensie w wielu nurtach dalej jest taka gradacja, a przecież myślę, że nauka powinna być jakąś pomocą dla nas. Jak wiemy, że z tymi umysłami to jest bardziej stopniowanie, a małpa może uczyć się mówić, to musimy to przyjąć do wiadomości!

Po co w sumie ślęczymy nad tym Platonem i tą śmieszną anamnezą czy nieśmiertelnością duszy, jak to już nie jest istotne?

– To Hartmann też tak mówił chyba, jakiś Szwed czy ktoś. A z tym Platonem to mam pomysł na opowiadanie akurat, mogę ci powiedzieć?

– No dobra.

– No to generalnie jest pewien szalony naukowiec, ale nie chodzi mu o jakieś panowanie nad światem czy inne takie. Zamiast pracować nad wehikułem czasu czy czymś w tym stylu, to pracuje nad maszyną, która przeniesie go do świata platońskich bytów, w sensie tych idealnych. Pamiętasz o co z tym chodziło, nie?

– No pamiętam.

– No, no to w końcu udaje mu się ją zbudować i przenosi się tam ze swoim uczniem i okazuje się, że to jest po prostu Płock, tylko że taki ekstremalnie czysty.

– I co dalej?

– Jeszcze nie wiem.

– Okej.

– Ale to chyba dobry punkt wyjścia, co nie? Albo nawet puenta w sumie.

– A czemu Płock?

– Bo to śmieszne jest.

– Ale w ogóle nie o to u Platona chodzi. To metafizyczny świat.

– To prawda – przyznałem. – To może żart, który wymyśliłem, gdy ostatnio stałem w kolejce do biblioteki.

– Okej.

– Przychodzi facet do biblioteki i pyta czy mają *Byt i nicość* Sartre'a, a bibliotekarka odpowiada, że byt jest a niebytu nie ma.

– Parmenides? – zapytała. – Czy jakiś Zenon na kiju?

– No, Parmenides.

Trochę jeszcze posiedzieliśmy przy kawie. Ona szybko swoją dopiła i odłożyła filiżankę z głośnym stuknięciem. Coś rzuciła pod nosem, że ma zaraz inne zajęcia i wyszła z kawiarni.

Spotkałem ją tydzień później, ale nie na zajęciach, bo się na nich nie pojawiła. Natknąłem się na nią przed wejściem na wydział. Stała z papierosem w ustach i patrzyła w moją stronę. Miała nowy kolczyk i miałem wrażenie, że jej włosy były jeszcze bardziej zielone niż wcześniej, jakby je odświeżyła, pofarbowała na nowo. Tym razem staraliśmy się ze sobą jak najmniej rozmawiać. Po prostu poszliśmy do mnie na mieszkanie i usiedliśmy naprzeciwko siebie. Byłem pewien, że to wszystko to jakaś moja samcza fantazja, ale naprawdę czułem, że to się dzieje. Jej włosy zaczęły spontanicznie rosnąć i przybierać coraz bardziej intensywny zielony kolor. To był znak. Już po chwili przewalaliśmy się na łóżku w objęciach, wycałowując nawzajem swoje karki i obojczyki, śliniąc sobie wargi, dotykając skóry.

Po wszystkim zapaliłem papierosa i zacząłem się ubierać. Za ścianą słyszałem współlokatorkę, czyli moją byłą dziewczynę, która przewracała się z boku na bok i być może drzemała. Wygodnie było mi bywać wciąż w bezpieczeństwie tej relacji, nie ucinać jej, znajdować się ciągle między jej twarzą a moją twarzą. Z zielonowłosą syreną i z jej zielonowłosą mocą nic nie będzie i byłem już tego pewien.

– Chyba musisz już iść, bo mi się przypomniało, że muszę coś tam zrobić na jutro – rzuciłem tylko i podałem jej płaszcz.

– Co zrobić? – zakładała skarpetę.

– Mam taki referat na jutro.

– No dobra. I tak chciałam iść, to nie ty mnie wyganiasz, tylko ja wychodzę, bo muszę już iść.

– To w sumie i tak nieważne.

Zniknęła. Wzięła i rozpłynęła się w powietrzu.

Resztę dnia spędziłem w łóżku, przewracałem się z boku na bok i nasłuchiwałem współlokatorki przez ścianę. Kichnęła, a później zaczęła głośno smarkać w chusteczkę. Westchnęła też kilka razy, kaszlnęła nawet, wierciła się na tapczanie. Nawet nie zauważyłem, kiedy zasnąłem. Nie wiem, ile wtedy drzemałem, ale chyba niedługo, bo

było jeszcze jasno. Poszedłem na balkon zapalić papierosa. Balkon też był wspólny, można była na niego wejść z obu pomieszczeń. Okazało się, że stała tam wtedy z papierosem w buzi. Blond włosy miała spięte w kok, ale kilka kosmyków bezładnie spadało jej na twarz. Po supłowych wykręceniach tułowia i szyi już nie było śladu. Chyba nie dostrzegła ich też u mnie, bo się uśmiechnęła.

Usiadłem na krzesełku, naprzeciwko którego stała, odpowiedziałem uśmiechem i powiedziałem:

– Poezja to jest zazwyczaj jakaś lipa, rzadko który wiersz mi się podoba.

Zaśmiała się słodko i delikatnie, ale zarazem gęsto, jakby miód lał się z jej ust.

– Wiem o tym, wiem – odparła. – Przeczytam ci zaraz coś pięknego i zmienisz zdanie.

Patrzyliśmy po sobie zadowoleni i paliliśmy papierosy. Poszedłem ściągnąć te śmieszne zamki.

Mariusz Sambor

Urodzony w 1965 r. Autor opowiadań, wierszy oraz prozy poetyckiej. Publikował w Wyciągu, n.p.m., „Kontencie", „Stonerze Polskim", „Tlenie Literackim", „Rzyradorze" i w *Strefie Wolnej - Antologii wierszy przeciwko homofobii i nienawiści*. Wirus. Kręci się i wiruje wokół KSP (Krakowska Szkoła Poezji). Założyciel Koła Młodych KSP. Mieszka tam, gdzie kręci i wiruje.

Głupiec – czasem trzeba coś stracić

fragment powieści

Talię kart taroka otwiera karta z ryciną smutnego mężczyzny, wędrownika z tobołkiem, spoglądającego w jedną, a idącego w drugą stronę. Nie dostrzega gryzącego go od tyłu psa. Ta karta to Głupiec, uważany za najsłynniejszą postać taroka.

[...]

Karty. Przygoda z tarokiem. Kästner teraz dopiero sobie przypomniał tamto zdarzenie.

W czasach światowego kryzysu, z początkiem szalonych lat trzydziestych, wśród galopującej inflacji, przekrętów i oszustw, wpadli kiedyś na melinę z nielegalnym kasynem. Nie były to pierwsze lata w policji, ale wciąż ciekaw był nowych doświadczeń. Zgarnęli kilku małych oszustów w Schubert Saal przy Bülowstraße w Schönebergu. Podobno cynk przez dzielnicowego dała im działająca w tym viertlu wróżka. Dowiedział się, która to i gdzie można ją spotkać. Pewnego wieczoru sprawdził, że wróży w Cafe Olala, lokalu lesbijek i transwestytów przy Zietenstraße, a że było to o krok od Schubert Saal, dosłownie w sąsiedniej przecznicy, wybrał się na spokojnie, pewny, że nikt go nie zaczepi. Wieczór wyglądał dokładnie tak, jak na pełnym impresji płótnie Lessera Ury, mrocznym olejnym obrazie Hochbahnhof Bülowstraße. W mokrym, od padającego ciągle deszczu, asfalcie odbijały się światła taksówek, stojących wzdłuż wiaduktu tej właśnie stacji kolejki S-Bahn oraz blask ulicznych latarni i lampy witryn lokali, widocznych w przepuście przejścia pod wiaduktem. Z oddali nadjeżdżał piętrowy autobus, typowy berliński Doppeldecker, a górą, na wiadukcie, szumiały nadjeżdżające wagony S-Bahnu.

Lesser Ury, impresjonista Berlińskiej Secesji, zmarł kilka lat temu, jeszcze przed przejęciem władzy. Tak, pamiętał doskonale jego niezwykłe obrazy. Teraz nie prezentowano ich z wiadomych przyczyn. Według władzy była *to Entartete Kunst,* sztuka zdegenerowana.

Hochbahnhof Bülowstraße. Mroczny, rozmyty od cieni i świateł nocny pejzaż uliczny, robił wrażenie. Ale skąd to się wzięło? Jak poznał jego obrazy? No tak, zaczęło się od reprodukcji w katalogu. Zobaczył go u dziewczyny, z którą się wtedy spotykał.

Studiowała na Staatliche Kunstschule zu Berlin – dawnej królewskiej, a dziś państwowej Szkole Sztuk Pięknych. O dziewczynie zapomniał, a malarstwem Lessera Ury zainteresował się, wyczulony na sztukę od czasów szkolnych. Profesor od plastyki byłby zadowolony. Myśląc o berlińskim impresjonizmie, dotarł do Cafe Olala.

Wnętrze nie wyglądało jak na obrazie Urego. Do tego trzeba było zapłacić za wejście i to wcale nie mało. Ale co tam. Pchnął drzwi do lokalu, otrzepał płaszcz i usiadł przy barze. Wnętrze przypominało typową małą paryską café[1]. Siedziały tam pary, damy w sukniach z dekoltami i z partnerami w eleganckich, kontrastujących z gnuśnym wnętrzem, garniturach. Chociaż nie, teraz przypatrzył się lepiej. Były to właściwie niemal same kobiety, niektóre w smokingach, z obciętymi na pazia włosami i monoklach, wyglądały jak mężczyźni. Dopiero później zauważył także kilku transwestytów. Wiele stolików stało w sekretnie zasłoniętych lożach. Kelnerki w strojach francuskich pokojówek, w czarnych sukienkach z białymi fartuszkami, wyraźnie flirtowały z klientkami. Im głębiej lokalu, tym bardziej przypominał się plac Pigalle. Francuski, lekko kurewski szyk.

Na początek lustrował z ciekawością kolorowe towarzystwo, które już nieźle balowało. Nie mógł rozróżnić, kto jest kobietą, kto mężczyzną. Szalona muzyka, błyskające światła, wielkie czerwone wyszminkowane usta, różowe policzki, świecące złotem i brokatem długie suknie. Co jakiś czas rozlegał się nerwowy chichot, zwieńczony ekstatycznym krzykiem zza zasłoniętych kotarami intymnych lóż. Nie jedno widział w życiu, ale teraz był oszołomiony. Wziął menu i już się nie dziwił. Wyraźnie napisano: „Mężczyźni płacą podwójnie". Co było robić. Zamówił dwa *schnapsy* dla kurażu. Rozglądnął się, czy ktoś mu się przygląda, ale damy były raczej zainteresowane sobą. Wtedy przypomniał sobie, skąd się tu dziś wziął. W jednej z wpół zasłoniętych lóż zobaczył wróżkę. Do dziś nie wie, czy była to wróżka, czy wróż. Tamtego wieczoru wszystko było możliwe.

Najpierw poczuł się dziwnie nieswojo. Czuł, jakby ktoś go obserwował. Rozglądnął się dyskretnie, lecz nic nie zauważył. Jednak wciąż odczuwał czyjś wzrok na sobie. Tak bywa czasami, choć sam nie wiesz dlaczego. Odwrócił się i wypatrzył stolik stojący za na wpół zasłoniętą kotarą. Świdrujące, wpatrujące się w niego oczy,

[1] G. Iannucci, *La Topografia Dell'omosessualita Nella Berlino Della Repubblica Di Weimar*, Facoltà di Lettere e Filosofia, Dipartimento di Studi europei, americani e interculturali Dottorato di Ricerca in Scienze del Testo - XXIX Ciclo […], 2014.

spoglądały z upudrowanej do białości twarzy bez uśmiechu, z miną mówiącą wiele. Zdawały się wprost szeptać i wzywać:

– A widzisz, mam cię, chodź tu, chodź, chodź do mnie...

Śmieszne, nie wiedział, dlaczego, lecz zafascynowany, zauroczony spojrzeniem podniósł się zwolna po chwili zza baru, podszedł i przystanął bez słowa. Słowa nie były potrzebne. Na małym, okrągłym, przykrytym zielonym suknem stoliku leżały wyłożone jednakowymi obrazkami do góry karty, ułożone w rodzaju półkola, a może bardziej w kształcie litery V. Wróżka, bo tak ostatecznie zdecydował się myśleć o tym indywiduum, wskazała gestem krzesło. Usiadł. Gdy zajął miejsce, zaczęła odsłaniać karty i wpatrywać się bardzo teatralnie na przemian w karty i w jego oczy. Rozbawiło go to, ale zachował powagę i kamienną twarz. W końcu wróżka przemówiła.

Odsłoniętych kart było siedem. Chrypliwym szeptem wyjaśniła, że trzy pierwsze z kolei oznaczały przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Musiał się mocno powstrzymywać, żeby nie parsknąć śmiechem. Nie ma przeszłości. Nie ma, już była. Nie ma jutra, może przybędzie lub nie. Jest tylko tu i teraz. Przyszłość, przeszłość – realnie nie istnieją. Ale ostatecznie wstrzymał oddech i jakoś wytrzymał. Kolejne odsłaniane karty, jeśli dobrze zapamiętał, oznaczały podejście do problemu, otoczenie oraz trudności. Karta siódma oznaczać miała ostateczny rezultat.

Dziś już nie pamiętał całego tego bredzenia. Może to gorąca atmosfera w klubie, a może wypity dla kurażu schnaps sprawiły, że tracił cierpliwość. To miało być jedynie doświadczenie badawcze. W pracy śledczego wszystkiego można się było spodziewać. Starał się ciągle doskonalić. Może wszystko spłynęłoby po nim jak woda po kaczce, gdyby nie mina wróżki. Pokazała kartę numer trzy i kartę siódmą, ostatnią. Na dłużej zatrzymała na nich wzrok. Nagle zniknęła teatralność i tandetny wydźwięk. Na starczym czole pojawiły się zmarszczki, w oczach nieskrywane przejęcie. Brwi uniosły się w górę. Znał się już trochę na ludziach. To *Körpersprache* – mowa ciała. Zajmował się psychologicznym aspektem niewerbalnej komunikacji w kryminalistyce. Jeszcze w Instytucie Policji w Charlottenburgu, w dawnych czasach. To były zajmujące spostrzeżenia. Poczuł się dziwnie, bo nagle wyglądało to wszystko bardzo szczerze, choć w takie rzeczy nie wierzył.

Wróżka wpatrywała się w karty przez dłuższą chwilę, aż przemówiła:

– Trzecia karta, to przyszłość – wyszeptała ochrypłym głosem, pokazując kartę. Przedstawiała postać kobiety w koronie, królową, władczynię, siedzącą na tronie.

– *Die Kaiserin*, cesarzowa – wiesz, co ta karta oznacza? Najkrócej, to bogini pomyślności! Twoja przyszłość!

Ostatnia, siódma karta przedstawiała smutnego mężczyznę wędrującego z tobołkiem żebraczym, spoglądającego w jedną, a idącego w przeciwną stronę, który nie zauważył, że z tyłu za spodnie na tyłku łapie go bezpański pies.

– Wiesz...

Zamilkła na chwilę. Początkowo pomyślał, że chce sobie zadrwić z niego, że jednak rozpoznała w nim policjanta z komendy na Gothaer Straße. Odetchnęła i jakby zmalała, cała się skurczyła w sobie. Żarówka, pod wymalowanym w złote gwiazdy abażurem lampki stojącej na stoliku, rozjaśniała się i przygasła na zmianę. Już miał dość tej komedii, ale stara nagle pochyliła się do przodu i złapała go suchą dłonią za rękę z wyraźnym przejęciem.

– Ta karta to *Der Narr*, Głupiec. Najsłynniejsza postać taroka, *Der Narr* – mamrotała – rozumiesz?

Westchnęła i odsunęła się do tyłu. Wyciągnęła obydwie dłonie i położyła przed sobą na zielonym suknie stołu. Po chwili milczenia powiedziała już spokojniej, patrząc w oczy.

– Wszystko mogłoby być bez znaczenia, ale kiedy wydarzą się rzeczy, o których mówią karty, staniesz oko w oko z przyszłością. Zaczniesz wiele życiowych spraw. Ale najważniejsza w twojej przyszłości jest kobieta. *Die Kaiserin*, to twoja cesarzowa.

Popatrzyła przenikliwie.

– Nie śpiesz się. Czekaj, aż czas dojrzeje. To nie jest żadna gra z czasem. Zajmij się tym, co masz i ciesz się życiem takim, jakie jest. Nie angażuj się i nie spalaj w działaniach niezgodnych z twoją naturą. Wykorzystaj sprzyjające okoliczności, pomoc innych, dobre rady, czyjąś przychylność. Ważne dla ciebie są teraz: miłość, przyjaźń, piękno i zmysłowe przyjemności.

Złożyła suche dłonie na obu kartach.

– Cesarzowa i Głupiec... Uważaj, uważaj... W najlepszym razie znajdziesz się w punkcie wyjścia, ale utracić możesz majętność, stosunki i znajomości, które teraz wskazują ci życiową drogę. Dużo ryzykujesz!

Na końcu języka miał myśl najprostszą z prostych – ty stara wiedźmo, *du alte Hexe*, o czym ty gadasz, ale ugryzł się w język. Chciał doczekać do jakiegoś końca.

Popatrzyła mu przeciągle w oczy, jakby nagle zupełnie straciła zainteresowanie.

– Idź już, inspektorze.

Zgarnęła wszystkie karty na kupkę i zupełnie przestała się nim interesować, jakby go tu w ogóle nie było. W milczeniu odsunęła w jego stronę położony przed chwilą na suknie przez policjanta banknot. Nie chciał jej drażnić, schował na powrót marki do portfela.

Czyli wiedziała, kim był, a mimo wszystko nie odniósł wrażenia, że był to tani spektakl dla jednego widza. Nie, oczywiście, że wtedy, w Cafe Olala, nie brał sobie tego do serca. Na to był zbyt trzeźwo myślący. W końcu to miało być tylko doświadczenie. Tak sobie tłumaczył – to było tylko doświadczenie badawcze. Jednak przez kilka kolejnych dni czuł się dziwnie i rozmyślał bardziej analitycznie o swoim życiu. Później już do tego nie wracał. Dopóki nie spotkał Irene. A dziś?... Czy dziś pomyślał tylko o Irene? Chciał być wobec siebie szczery i... Nie był już taki pewny.

Der Narr. Teraz pojął, że Głupiec z kart taroka dziwnie przypominał Syna Marnotrawnego z obrazu Boscha. Jak z przypowieści chrystusowej, *Der Hausierer* – Wędrowiec, Pielgrzym czy Syn Marnotrawny, postać tytułowa z dzieła Hieronymusa Boscha stworzonego z początkiem szesnastego stulecia. Tego samego Boscha od Sądu Ostatecznego. Prosta historia – ubogi wędrowiec przemyka przez wieś, szczuty psem pod zwyczajnym *Gasthausem*, alegorią doczesnego żywota z jego brudem, pospolitością, otwartą seksualnością i fizjologią włóczęgi, oddającego pod zniszczoną fasadą gospody mocz. Wędrowiec oddala się jednak, żegnając mieszkańców uchylonym kapeluszem. Brama za jego plecami zdaje się być wprost słowami Jezusa z Ewangelii według świętego Jana:

Ja jestem bramą, jeżeli ktoś wejdzie przeze mnie, będzie zbawiony.

Wędrowiec, syn marnotrawny powraca po utracie łaski, sprzeniewierzeniu się przymierzu miłości i utracie godności. A jednak odzyskuje świadomość po przyznaniu się do błędu.

Kästner ziewnął i przeciągnął się. Dosyć tych dziwacznych wspomnień na urlopie. Trzeba wypoczywać i wykorzystać wakacyjne uroki Ostpreußen. I jeszcze tamta piękna blondynka na plaży. Odsunął krzesło i z małej walizki wyjął zniszczoną książeczkę, która działała na niego oczyszczająco i którą starał się od kilku tygodni nosić zawsze przy sobie. Mała książeczka o pożółkłych stronach. *Der Wahrheitpfad*, *Dhammapadam*; Ścieżka Prawdy[2]. Buddyjski pomnik z Pali w tłumaczeniu Karla Eugena Neumanna, wydanie drugie z roku 1921, München, wydawnictwo R. Piper. Polubił przelatywać wzrokiem przez poszczególne wersy, aż trafiał, jak teraz, na najbardziej odpowiedni do sytuacji:

Głupiec, który wie o swej głupocie, jest przynajmniej w tym mądry, lecz głupiec, który myśli, że jest mądry, dopiero jest głupcem[3].

Ale nie mógł się uwolnić od przeszłości. Wertując dalej, w kolejnym rozdziale, po tylu latach od owego wieczoru w Cafe Olala, przypomniał sobie ostrzeżenia wróżby taroka:

Nie związuj się ze złymi towarzyszami; nie poszukuj towarzystwa ludzi podłych. Związuj się z dobrymi przyjaciółmi; staraj się o towarzystwo ludzi szlachetnych[4].

– Dobrze, dość już. Czas na śniadanie i na plażę – pomyślał i przeciągnął się leniwie, ale tak mocno, aż słychać było naciągające się chrząstki.

---

[2] *Dhammapada* – zbiór 423 mądrościowych wersów, podzielonych na 26 rozdziałów. Zawiera zbiór moralnych wskazówek z mów i rozmów głoszonych i prowadzonych przez Buddę i jego wybitnych uczniów, zarejestrowane przez świadków. *Dhamma* to objawiające Prawdę, odkryte i ogłoszone przez Buddę uniwersalne Prawo, określające warunki stawania się i ustawania Rzeczywistości Zjawiskowej, które może posłużyć jako Reguła Wyzwolenia, czyli osiągania Doskonałości. *Pada* oznacza krok, stopę i ślad. Tytułową *Dhammapadę* można zatem odczytywać jako Podążanie ku Prawdzie, Mądrości, Doskonałości lub jako Ścieżkę Prawdy, Mądrości, Doskonałości, ścieżkę wewnętrzną. "Krocząc" po Ścieżce Prawy zmienia się umysł nią kroczącego.

[3] Z. Becker, B, Bodhi, *DHAMMAPADA Ścieżka Prawdy Buddy*, Misja Buddyjska „Trzy Schronienia" w Polsce, 1997.

[4] Ibidem.

Ostpreußen. Plaża. Wczorajszy wieczór. Wczorajsza rozmowa z piękną Margitte. Coś go tam ciągnęło. Coś? Raczej ktoś! Na pewno nie ta cała hałastra na brzegu jeziora. Kto? To ona, piękna Margitte. To ją chciał znowu spotkać.

[...] *Dwa tygodnie później w Berlinie:* [...]

Dzień zaczął się inaczej. Zamiast pełnego, nagrzewającego przez kolejny dzień wielkie miasto słońca, ranek wstał mglisty i wilgotny. Padało. W nocy Kästner zerwał się z łóżka nagle, może pod wpływem snu, może wiatru i grzmotów. Nieprzytomny zamykał otwarte kwatery, gdy wiatr wtłaczał do mieszkania pierwsze siekące krople deszczu. Jak automat zamknął okna i padł nieprzytomny na łóżko. Nie pomyślał o Irene. Zapadł w twardy sen. Tuż przed przebudzeniem miał wizję. Pamiętał, nawet gdy otworzył oczy. Zwykle zapomina się sny, nim na dobre człowiek się rozbudzi. Te pamiętane dłużej muszą być powodowane silniejszym impulsem.

Sen. Pamiętał, że wydawało mu się, jakby się już zbudził. Może rzeczywiście balansował na krawędzi przebudzenia, choć przecież wciąż jeszcze spał. Otworzył oczy. Tak w każdym razie mu się zdawało. Bardzo się zdziwił. Otworzył oczy. Kładł się przecież jak zwykle sam, a na poduszce obok spoczywała, odwrócona tyłem do niego, głowa kobiety. Słomiane długie niemal białe blond włosy poskręcały się w pasma pod wpływem snu. Zapach.

Przymknął oczy. Zapach wyraźny, szczególny. Z przymkniętymi oczyma wciągał powietrze, słysząc, jak kobieta oddycha przez sen. Pachniała inaczej niż Irene. Kokosowy zapach z domieszką morskiej soli. Ładny obrys ucha wysunął się spod włosów. Delikatnie wzdychała przez nos. Wpatrywał się w wypukłości ciała wyraźne pod cienką kołdrą, usiłując dostrzec choćby minimalne ruchy. Chciał się upewnić, że ona naprawdę żyje. Teraz znowu na serio się przestraszył. Wrażenie było bardzo realistyczne. Prawda, po skończonej pracy i ślęczeniu nad teczkami, z których wynikało prawdziwe szaleństwo, wiedza, którą musiał na razie zachować dla siebie, był tak przygnębiony, że musiał wypić piwo. Nie, to nie mogła być prawda. To, co przyszło na myśl po lekturze materiałów odebranych z przechowalni bagażu, które zostawiła mu Irene. To było jak kiepski horror o rumuńskim arystokracie. Pamiętał, jak starał się wymyślić coś sensownego, trzymając w rękach dwie karty taroka otrzymane wcześniej od Irene, wyjęte z koperty otwartej dopiero podczas urlopu w Ostpreußen.

Karta pierwsza – *Le Bateleur* – Mag.

Karta druga – *Cinq de Coupes* – Pięć Kielichów.

Co miało to oznaczać? Co chciała mu powiedzieć? Tarok? Wiedza tajemna? Bzdura, *Quatsch*. Ale nie umiał się powstrzymać. Tak, to był tarok. A przecież oprócz tych dwóch kart od Irene były w jego życiu jeszcze inne symbole taroka, które przesadnie wziął do serca w Cafe Olala i o których rozmyślał na urlopie. Inne karty – Głupiec, Cesarzowa oraz *das Rad des Schicksals* – Koło Fortuny. To były bajki z innych czasów. Opowieści, w które kiedyś chciał wierzyć. Mroczne wizje z obrazów Lessera Ury, nocnych deszczowych widoków Berlina, impresji świateł. Pokręcone historie z lokalu lesbijek i transwestytów przy Zietenstraße w Schönebergu. Urocze bajki starej wróżki, ckliwej cwaniary, choć przyznać musiał, że wtedy tak o niej nie myślał.

Irene. Co się z nią stało i dlaczego zniknęła? Cóż znowu ma wynikać z wysłanych przez nią kart?

Tarok? Tak, tarok potrafił wciągnąć i zafascynować, jak ponure materiały z teczek. Dopiero teraz puknął się w czoło. Ma przecież książkę ze złoconymi gwiazdami i symbolami magicznymi na okładce, kupioną podczas drugiej wizyty w antykwariacie na Prenzlauer Bergu. Książkę z pięknymi, ręcznie malowanymi kartami Wielkich Arkanów. Później poczyta dokładniej. Choć z drugiej strony...

Cesarzowa? Natrętne myśli wracały, gdy poparzył na zdjęcie. Biały kapelusz, założone jedna na drugą długie nogi, jasna sukienka zsunięta nad kolano. Piękna twarz, jasne długie włosy. Słoneczny dzień. Uśmiech zatrzymany w kadrze obiektywu. Kawiarniany stolik na tarasie lotniska Zentralflughafen Tempelhof.

Znowu to samo, znowu to poczuł. Ból i brak. Szaleństwo znowu wracało. Znowu to, co miało już minąć na dobre. Potrzeba lekarstwa! Ale piękne lekarstwo z Ostpreußen było daleko. A gdyby było blisko? Mogło zadziałać jak Giftstoff, trująca substancja, która gdy przeniknie do organizmu, spowoduje zaburzenia lub śmierć, działając gwałtownie lub przewlekle.

Przewlekłe działanie. Już nie wiedział, czy było to wieczorem, czy wciąż jeszcze śnił. Słyszał, jakby to było ledwie wczoraj, a nie wiele lat temu, ochrypły głos:

– *Die Kaiserin*, cesarzowa – wiesz, co ta karta oznacza? To bogini pomyślności! Twoja przyszłość... – szeptała wróżka z Cafe Olala, wpatrując w niego bez uśmiechu oczy z upudrowanej do białości twarzy.

– W końcu stajesz oko w oko z przyszłością. To najważniejsza w twoim życiu kobieta. *Die Kaiserin*, twoja cesarzowa – mamrotała w transie z przymkniętymi oczami.

Cesarzowa? Fatum? Przeznaczenie? Cudowne marzenie. Marzenie?

Bajka. Bzdura. *Quatsch*. Poranek. Kokosowy zapach przy twarzy. Trzeba otworzyć oczy.

Otworzył. Patrzył na słomiane blond włosy skręcone w pasma, ładny obrys ucha. Wciąż czuł kokosowy zapach z domieszką morskiej soli. Znał ten zapach. Zapach lekko stłumiony dymem z ogniska i wonią wieczoru znad jeziora. Wnikał w nozdrza, gdy tamtej mazurskiej nocy w *Ostpreußen* zbliżył się do ciepłej twarzy Margitte. Gdy wyciągnął rękę i położył delikatnie na jej ramieniu, przesunął wyżej, na szyję. Margitte. Była piękna. Czuł ciepło gładkiej skóry. Wtedy nie odsunęła się. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta. Zapach, ten sam zapach został i trwał na dłoni, a później w pamięci. Pamiętał, jakby to było przed momentem. Margitte. A teraz obok niego leżała ciepła Margitte. Poczuł, że traci kontrolę, że w podbrzuszu zaczyna się znajome mrowienie. Nie chciał już niczego i nikogo innego. Wyciągnął rękę, by odsunąć kołdrę i wsunąć się blisko ciepłego, idealnego, pachnącego zmysłowo ciała. Przylgnąć i poczuć jak leniwie przeciąga się i zaczyna poruszać, rytmicznie wchodząc w tę samą grę. A kiedy w końcu dotknął, by odsunąć kołdrę, poczuła go, budząc się i lekko poruszyła. Zaczęła odwracać głowę. Przymknął oczy, unosząc się ekstatycznie do pocałunku.

– Margitte. Moje cudowne wybawienie – mruczał z zamkniętymi oczyma, ale nie chciał mieć już zamkniętych oczu. Chciał widzieć jej piękno.

Gdy je w końcu otworzył, zobaczył przed sobą słomiane włosy sklejone zakrzepłą krwią. Sina obita twarz, rozbita kość czołowa. Wydłubane oczy i podcięte gardło. Twarz zamordowanego SA-manna spod pomnika księcia Jaczo na Schildhorn nad Hawelą.

Usiadł gwałtownie na łóżku. To jednak był sen. Ale dopiero teraz poczuł, jakie to wszystko jest ohydnie brudne. Przetarł oczy. Wciąż nie mógł uwierzyć, drapiąc się po głowie.

– Gówno, co za śmierdzące gówno, *Scheßerei* – powtarzał w myślach, nie mogąc znaleźć innych słów. Teczki. To wiedza z teczek o śmierci tak powalała.

– Dobrze, no już dobrze – uspokajał się. Przecież to tylko przypuszczenia, wysnute na podstawie dokumentów przekazanych przez Irene. To, co sobie wyobraził, to, w co wciąż nie mógł uwierzyć, spowodowało, jakby zatrzasnęła się jakaś klapka w mózgu. Tylko ta obrzydliwość, ohyda, zgroza, mara, wylewały się i znajdowały upust, dominując ohydnym odorem nad wszystkim.

– Gówno, gówno, gówno. Co za gówno – szeptał i nie potrafił inaczej – gówniana ohyda. *Scheßerei*, *Dreck*.

***

Kiedy doszedł do jako takiego spokoju, poczochrał włosy. Wstał i poczłapał do łazienki. Zrobił, co swoje. Wciąż nie mógł się obudzić z koszmarnego snu. Pokręcił głową. Trzeba będzie na spokojnie to wszystko złapać po swojemu. Odkręcił kran nad wanną i wsadził głowę pod zimną wodę. Prychając, otrząsnął się, rozchlapując wodę po całej łazience. Kiedy wycierał włosy, popatrzył do lustra i zobaczył przekrwione oczy. No, wreszcie. Wreszcie był jako tako obudzony. Zaparzył kawę i sięgnął po karty taroka, które nadal leżały na biurku tak, jak je zostawił w nocy.

Le Bateleur. Mag.

Cinq de Coupes. Pięć Kielichów.

Acha, oszklona etażerka. Wśród tomów stała druga książka z księgarenki na Prenzlauer Bergu. To były *Großer Arkana* – Wielkie Arkany, księga o taroku. Myślał o niej wieczorem. Okładka ze złoconymi gwiazdami i symbolami magicznymi nie była nowa. Księga dwudziestu dwóch Arkan taroka z kolorowymi, ręcznie malowanymi kartami Wielkich Arkanów opisywała symbolikę kart. Przewrócił kilka stron i znalazł spis. Dalej było łatwo.

Mag – *Le Bateleur*

[…] *Mag to mądrość, skuteczność, pewność siebie i aktywne kształtowanie życia. Mag mówi o czasie, w którym rozwiązujemy nawet najtrudniejsze problemy, podchodząc do wyzwań z zaostrzoną świadomością i czujną mądrością życiową, przeświadczeni o powodzeniu swoich działań.*

Mimo że karta przedstawia moc silnej osobowości, nie oznacza wcale, że można zaniedbać intuicję i inne nieświadome siły. Przeciwnie – nadzwyczajna umiejętność wywierania wpływu i skuteczność działań, na które wskazuje Mag, opierają się na głębokiej harmonii między świadomością i nieświadomością. Tylko powstała w ten sposób wewnętrzna pewność siebie może „przenosić góry[5]*.*

Kim jest Mag? To niewątpliwie pod każdym względem atrakcyjny mężczyzna. Lider, przywódca o silnej osobowości, pisarz, twórca, pomysłodawca, odkrywca, pionier. Gdy wśród kart taroka pojawia się Mag, oznacza to początek nowych działań, nowatorskie projekty, światłe idee. Mag to również kreatywność, inwencja, pewność siebie. Mag przejmuje inicjatywę, działa, bierze sprawy we własne ręce.

Wobec kobiet ma znaczny potencjał seksualny.

Karta ta w aspektach negatywnych oznaczać może także intrygę, manipulowanie, nadużycie sił i mocy, niezdolność wobec swoich atutów, niewiarę lub nadmierną pewność siebie oraz ryzykanctwo.

W sferze uczuć karta Maga przedstawia postać fascynującą się partnerem i silny związek seksualny. Wskazuje ludzi związanych wspólnym celem o silnych osobowościach, a ich silne związanie, pojmowane jest jako wspólnota interesów.

Kästner czytał i nie przestawał. Czasem kiwał głową. Już nie zastanawiał się, czemu magia fascynowała Agronoma, szefa wszystkich policjantów Rzeszy i podobnych mu nadętych kreatur z ostatnich czasów. Jednak chciał wiedzieć, co miała na myśli Irene, zostawiając dziwaczne karciane przesłanie z Salonu Kitty.

Szukał dalej i czytał:

Cinq de Coupes. Pięć Kielichów.

Ubrana na czarno postać nad rzeką smutno spogląda na trzy przewrócone kielichy, nie zwracając uwagi na dwa następne, stojące za nią. To smutek po stracie, przygniatające uczucie samotności, przy którym nawet pomoc bliskich przyjaciół (dwa stojące kielichy), nie jest dostrzegana. Rzeka symbolizuje bieg wydarzeń, które z jednej strony przynoszą nowe doświadczenia, a z drugiej uczą, że cierpienia mijają.

---

[5] H. Banzhaf, *Tarot dla każdego*, Wydawnictwo KOS, Katowice 2004.

Most i zamek obronny w tle, wskazują na możliwość wyjścia z trudnego położenia. Czarna linia oddziela świat wewnętrzny, gdyż zdecydowanie nie należy do krajobrazu. Postać pogrążona we własnym żalu męczy się, zamiast poszukać sposobu jego pokonania. Zagadnienie samotności łączy tę kartę z ciemną stroną Eremity (IX). Wieczna rzeka wydarzeń i doświadczeń odpowiada karcie Koła Fortuny (X), a uczucie bezsilności i niemożliwości znalezienia wyjścia z sytuacji to aspekt Wisielca (XII).

Znaczenie tradycyjne – rozstanie i łzy, ból i skrucha, zazdrość, dziedzictwo, nieprzyjemne plotki, strata, rozpacz, rozczarowanie, gorycz.

Karta odwrócona – wiadomość, nowe związki, złudne plany...[6]

Złudne plany. No cóż, jasne, pewnie był idiotą.

– Głupcem – poprawił się, mówiąc na głos – zwyczajnym głupcem.

Kolejny raz musiał coś poprawić. Przez chwilę pomyślał o wróżbie z Cafe Olala w Schönebergu. Dawne czasy. W spisie treści widział opis wpływów połączeń poszczególnych Wielkich Arkanów ze sobą. Głupiec i Cesarzowa, *das Rad des Schicksals* – Koło Fortuny. To później. Tak, przeczyta to później, na pewno. Czytał dalej o *Cinq de Coupes* – Pięciu Kielichach. To również było zabawne:

Karta ta oznacza żal i brak. To symbol rozczarowania i strat, smutek oraz bezsilność. Oznacza, że wszystko stracone, lecz z kolei odwrócona znaczy, że nie wszystko stracone, oczywiście, gdy uda się to zauważyć. Wskazuje na choroby psychiczne, nadmierny związek z emocjami przeszłości, traumę, która stając się rzeczywistością, wpływa nadal emocjami z dawnego życia na wnętrze dziś. Postać określona przez kartę, wciąż dokonuje analizy emocjonalnej, pytając, „dlaczego" wciąż czuje, że znów nie zdobędzie tego, czego potrzebuje i oczekuje.

Przymknął oczy, potarł mocno dłonią czoło i skronie. Gdyby tylko miał siłę uwierzyć w przepowiednie. Zamyślił się i zwiesił głowę. Sporo się tu zgadzało. Szybko spróbował sobie wytłumaczyć, że często lubimy się porównywać, gdy wzorce dostajemy na tacy.

– Na tacy? Na karcie – poprawił w myślach.

---

[6] Idem, *Vademecum tarocisty,* Ars Scripti-2, Białystok 2003.

Ładnie się to wszystko składało. Może gdyby wierzył w siłę hakenkreuza, uwierzyłby i w te bzdury. Ale jedno było pewne – w tym otwarciu musi zachować się jak Mag. Przejąć inicjatywę i liczyć na siebie, uważając na każdy ruch tamtych, złych. Dać im znać, kto tu jest Magiem, choć mają przecież własnego Wielkiego Maga i tylko w niego wierzą.

– Dokąd ta wiara, nas Niemców i całą Europę, zaprowadzi – pomyślał.

Wielu, którzy o to otwarcie pytali, zniknęło z codziennego otoczenia.

Mara i Fatum. [...]

Tomasz Sitarz

Gdynia born and raised. Biologicznoliryczno.

Ostatni raz i emerytura

Ranek. Pokój oświetlony wschodzącym słońcem, ledwie przebijającym się przez smog. Dźwięk budzika stojącego na szafce, przy łożku zasypanym zagregowanymi koszulami i opakowaniami po posiłkach instant. Gdyby nie ekscytacja ostatnim dniem nie zerwałby się z barłogu tak ochoczo.

– Ostatni raz i emerytura. – rzucił w przestrzeń XY.

Z kuchennego okna rozpościerał się widok na budzące się Cuerpolis.

– Myśl o nadchodzącej wolności! Jutro o tej porze będziesz łowić rybosomy w stawie kolanowym.

Wręcz młodzieńczym truchtem zbiegł po schodach, wybijając na poręczy swoją ulubioną sonatę, Strepitus Cordis Levine'a. Nie wytrąciła go z równowagi nawet stara Telomerowa spod lewej dolnej czwórki, która najwyraźniej niedawno wróciła z wakacji. Nie widywał jej od kilkunastu dni.

– Panie XY, co Pan tak pędzisz!? Huk na całą klatkę schodową.

– Chyba piersiową Pani Telomerowa. Miłego dnia. –Rzucił przez ramię. Starowinka, pomyślał, niewiele zostało jej dni. Jest już z 10 podziałów po limicie Hayflick'a. Wskoczył do samochodu, przekręcił kluczyk w stacyjce i wrzucił wsteczny.

– Uwaga skurcz, którego skutkiem jest zator kilku najważniejszych krwionostrad, w okolicach lewej łydki. Przewidywane są znaczne utrudnienia w przepływie. Słuchaczom zalecamy wybrać Neuronówkę S3 i przesiąść się na Rdzeń w kierunku centrum. Podstawione zostały dodatkowe synapsy awaryjne...

Zgasił silnik, zapalił papierosa i wysiadł z wozu. Na peronie Neuronówki wrzucił kilka drobnych grajkowi za jego wspaniałe wykonanie Cerumen opus 3 na trąbce Eustachiusza. Tłumy przewijały się przed jego oczami. Tysiące komórek, białek, neuroprzekaźników w drodze do szkoły, pracy i kto wie gdzie. W takich chwilach zazwyczaj wpadał w zadumę nad plastyczną misternością miasta, którego obywatelem przyszło mu być, ale dziś nie było miejsca na melancholię.

– Następny przystanek: Śródmózgowie. Możliwość przesiadki do pociągów Neuronówki.... – słowa z głośnika utonęły w zgiełku peronu. Resztę drogi przeszedł

pieszo. Na alei Purkiniego wstąpił do GABA Cafe. Z Americano na podwójnej adrenalinie w dłoni otworzył drzwi do biura. Za biurkiem siedziała młoda, elegancko ubrana kobieta.

– Panna Przysadka! Olśniewająco Pani dziś wygląda.

– Bonjour monsieur XY. Widać myśl o emeryturze Panu służy. Ma Pan gościa. Komendant Podpuszczka. Czeka już prawie pół godziny.

– Przyszedł niezapowiedziany?

– Niezapowiedziany i wysoce reaktywny.

– Reaktywny?

– Pobudzony.

– Dziękuję Panno Przysadko. Niech będzie Pani tak miła i zadba, żeby nikt nam nie przeszkadzał – rzucił przez ramię otwierając drzwi do gabinetu.

W centralnym punkcie pomieszczenia stało biurko, na którym piętrzyły się stosy papierów. Na wieszaku po lewej stronie drzwi wisiał płaszcz komendanta, a on sam siedział wygodnie na fotelu przeznaczonym dla interesantów. Przez pół godziny zdążył się już rozgościć.

– Komendant Podpuszczka z Układu Immunośledczego. Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

– Zacznijmy od gratulacji. 45. podział, zasłużona emerytura po wielce owocnej karierze prywatnego detektywa i... satysfakcjonującej służbie państwowej – dodał po krótkiej pauzie.

– Oczywiście nie umniejszam pańskim zasługom – kontynuował. – Będzie nam Pana brakowało po stronie... praworządnych obywateli – dokończył zmieszany.

– Jestem pewien, że obywatele jakoś sobie poradzą. Na mnie czekają już tylko tłuste rybosomy 60S.

– Z pewnością, z pewnością... – wymamrotał komendant starając się z całych sił nie zawiesić wzroku na swoim rozmówcy.

– Wiedziałem, że nie przyszedłeś tylko jako stary przyjaciel. Czego chcesz? – warknął wręcz. Taktyka podpuszczeń Podpuszczki irytowała go już za czasów szkolenia w Grasicy, kiedy byli jeszcze naiwnymi rekrutami.

– Nie irytuj się. Wiesz, że nie zwróciłbym się do ciebie gdybym nie musiał.

– Więc teraz, po latach, przypełzasz po pomoc?

– Nie proszę cię zebyś pomógł mi tylko miastu. – powiedział Podpuszczka, nie dając się sprowokować. – Nie znam nikogo innego kto mógłby coś wnieść do tej sprawy. Masz wyjątkowy talent do grzebania w brudach.

XY zachęcił do dalszych wyjaśnień uniesieniem rzęsek

– Widzisz... To samobójstwa. Dziesiątki, setki samobójstw... Najtęższe umysły Układu pracują nad sprawą od 3 tygodni.

– I co?

– I nic.

Zapadła cisza, którą zaburzały tylko dźwięki miasta zza okna.

– Jesteś mistrzem w swoim fachu Podpuszczka. Wiesz, że „nic" to jedyne, co może mnie zainteresować. Nie myśl tylko, że dam się wciągnąć w tę zabawę na dobre. Od jutra jestem emerytem.

– Proszę cię tylko, żebyś pojechał ze mną na miejsce zdarzenia. Dostałem zgłoszenie, że odnaleziono kolejną ofiarę, kiedy na Ciebie czekałem. Kazałem moim ludziom czekać i niczego nie dotykać. Zerkniesz? – spytał Komendant, z góry znając odpowiedź.

XY sięgnął do szuflady biurka i niewidocznym ruchem wsunął do kieszeni Magnum kaliber 44 nm.

– Zerknę.

Miejsce zbrodni

Mknęli rdzeniem w stronę miednicy. XY lustrował wzrokiem przydrożne billboardy reklamowe.

– Zwróciłeś uwagę, że wszędzie pełno teraz środków odmładzających? Opóźniających starzenie? – zagaił XY.

– Ciebie akurat nie powinno to dziwić. Chociaż nie wyglądasz na 45 podziałów to ząb czasu Cię nie szczędził.

– Obserwuję tylko tendencje społeczne. O, patrz! Krem lipidowo-kolagenowy na pomarszczoną błonę komórkową, wino z podwójną zawartością resweratrolu przeciw reaktywnym formom tlenu, suplement z endonukleazą naprawiającą mutacje punktowe w DNA? Powariowali. Zamiast zestarzeć się z akceptacją i godnością. Jak ja.

– Nie można winić ludzi za strach przed starością i przemijaniem – filozoficznym tonem odpowiedział Podpuszczka.

– Ale można komentować ich naiwność w prywatnym gronie – szelmowsko odbił piłeczkę XY. – Opowiedz mi o sprawie. Samobójstwa? Skąd ten pomysł i dlaczego zajmują sie nimi śledczy?

– A widziałeś kiedyś zabójstwo w zakmniętym od środka mieszkaniu ofiary?

– Widziałem, ale byś mi nie uwierzył, więc roboczo zgadzam się na teorię samobójstw.

– Najpierw dostaliśmy zgłoszenia o zaginięciach. Tu dwie, tu trzy osoby. Nie połączylibyśmy tego w jedną sprawę, gdyby nie to, że większość zaginionych była już dobrze po 50 podziale.

– Wszyscy? – W oczach XY widać było iskierki zainteresowania.

– Nie wszyscy, ale ta zbieżność pozwoliła nam na stworzenie pewnego zbioru cech, które łączą ofiary. Oprócz staruszków porywacza wydawały się interesować komórki chore i niedomagające. Takie, które wymagały czyjejś pomocy do funkcjonowania. Jak tylko udało nam się stworzyć profil potencjalnej ofiary, pojawiły się zwłoki. O zwłokach opowie ci koroner Rogówka. Teraz wystarczy tyle, że znaleziono ich

wszystkich we własnych mieszkaniach. Wracali do domu jakby nic się nie wydarzyło, a po kilkunastu godzinach było już po nich.

– W zamkniętych od środka mieszkaniach... – mruknął do siebie zamyślony XY.

– Skala problemu zaczęła rosnąć, ale wraz z burmistrzem postanowiliśmy nie informować podświadomości publicznej, żeby uniknąć paniki. Wtedy właśnie moi ludzie znaleźli szajkę

Virchowa.

– Banda starego Virchow'a jeszcze dycha i broi!? – XY zaświeciły się oczy na wspomnienie o dawnym nemezis. – Nie widziałem go już kawał czasu. Słyszałem, że nieźle się ustawili. Od czasu uchwalenia paragrafu 53 wszystkie ich interesy są właściwie legalne, a oni sami nietykalni dla wymiaru sprawiedliwości. Burmistrz pewnie nadal pluje sobie w brodę za p53. Virchow ma coś wspólnego z twoją sprawą?

– Ma wiele wspólnego, bo już nie dycha i nie broi. Okazało się, że nasz delikwent nie przepada za tymi, którym udaje się unikać sprawiedliwości. Virchowa i wszystkich jego ludzi znaleźliśmy martwych w jednej z melin Wyrostka Robaczkowego. Sprawcą musiała być ta sama osoba.

– Czyli ktoś wybiera na ofiary stare i niedomagające komórki, a także cwaniaczków od paragrafu 53? Intrygujące. Brzmi jak samozwańczy superbohater.

Podpuszczka zwolnił i skręcił na Kończynę Dolną Lewą. Jechali w milczeniu.

– Znam tę trasę! To Most Międzypaliczkowy! – poderwał się XY. – Mieszkam w Paliczku Lewej Stopy. Jak nazywała się ofiara?

– Tekla Telomerowa. Mówi Ci to coś?

– To moja sąsiadka. – odparł poruszony. – Jeszcze dziś rano z nią rozmawiałem!

– No to mamy wreszcie coś, co może naprowadzić nas na trop!

– Chyba nie insynuujesz, że mogę mieć z tym coś wspólnego!?

– Brakuje Ci metodyczności i skrupulatności, XY. Nigdy nie wziąłbym Cię za naszego zabójcę. – Podpuszczka zachichotał lateralnie parkując pod budynkiem.

Przestąpili przez próg pochylając się pod taśmą ostrzegawczą z napisem Miejsce zbrodni. Wnętrze mieszkania, w którym XY nigdy nie był, nasuwało na myśl przestrzeń samotnej, starszej osoby. Gdyby nie taśma ostrzegawcza i śledczy szwędający się bez celu po salonie nikt nie podejrzewałby, że w mieszkaniu zaszło coś podejrzanego.

– Chłopaki, zróbcie sobie chwilę przerwy – rzucił Podpuszczka, wchodząc do mieszkania Telomerowej – Rogówka, wprowadź proszę detektywa w sytuację.

Dopiero wtedy XY dostrzegł młodego mężczyznę, który zdecydowanie przepadał za przebywaniem w cieniu. Blady, żylasty nerwowo przyglądał się zebranym. Śledczy, zainteresowani obecnością XY, z wolna opuszczali pomieszczenie.

– Chłopaki, hyc, hyc. Ruszacie się jak ameby w glicerolu. Rogówka, opowiadaj – poganiał podwładnych komendant Podpuszczka.

– Pierwszą rzeczą, która rzuciła nam się w oczy to zamknięte od wewnątrz drzwi mieszkania – niepewnie zaczął Rogówka.

Juliusz Strachota

Urodzony 1979 r. w Warszawie. Pisarz i fotograf. Autor powieści *Relaks amerykański* oraz *Turysta polski w ZSRR*. Dzięki tej drugiej nominowany był do Nagrody Literackiej Gdynia i znalazł się w finale Nagrody Literackiej Nike. Fragment pochodzi z najnowszej książki *Krótka wycieczka na tamten świat*.

Podmiejska mowa dharmy

fragment powieści

Zapisałem się na kurs, który ma potrwać całe moje życie. A ponieważ nie przykładam się do nauki, może to się jeszcze przeciągnąć.

Teraz dzwonię na początek i kłaniam się do ściany. Oddycham.

Raz słyszy się wszystko, raz tylko myśli. Że lodówka. Że bzyczy. A potem kran. Woda. Cieknie. Chark. Łyk. Przestaje. Pies. Pies. Pies. Od okna chłód. Oddech po lewej. Wydech. A wdech? Wydech. Cień z lewej pochyla się, opada i nagle znów się prostuje. Ślina. Spływa. Zalega. Chark. Łyk. Pies. Senność. Jeden, dwa, trzy, myśl, jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, myśl, jeden, dwa, trzy, cztery, myśl. Spójrz w lewo, spójrz w prawo. Ale same gałki oczne, bez ruszania głową. Woda kapie. Kap, kap, kap. To nie kapanie. Kap, kap, kap. Woda nie kapie. Nie słychać tego kap. Nie ma tych trzech liter w wodzie, która kapie. I znów ściana. Pragnie się braku tej ściany. Pragnie się być gdzie indziej. W Odessie, bo tam słońce było w 2004, a na ścianie też jest. Wydech jako wypuszczanie pragnienia. Bo to tylko pragnienie. Pragnienie to nie ja. Lgnięcie do pragnienia to nie ja. Chwytanie pragnienia to nie ja. Puszczanie pragnienia to nie ja. Stop. Jeszcze raz. Jeden, dwa, dwa plus jeden i nagle myśl, że Kalkuta. Stop. Od zera. Kalkuta, Kalkuta, Kalkuta nocą. Stop. Jeszcze raz. Jeden, dwa, trzy, cztery, Borneo. North Borneo Railway. Co za nazwa wspaniała. Umysł skolonizowany przez nazwy, za którymi ciągnie się coś, co w rzeczywistości się nie ciągnie. Wróć. Odkurzacz. Dom obok. Odkurzacz. Odkurzacz ratuje. Odkurzacz to wiosna. Odkurzacz. Odkurzacz. Gaśnie. Rura uderza o podłogę. Wciąż gaśnie. Myśl, jakie dźwięki są przyjemne. Gasnący odkurzacz czuje się w całym ciele. Ramion rozluźnienie i błogość jakoś pod pachami i dalej do punktu hara. Nadal gaśnie. Wdech. Wydech. Nos. Usta. Wydech. Wdech. Nos. Usta. To samo. Wszystko jedno. Muzyka. Rozpędza się. Głośno. Ścisza się, ale już. Parska ktoś po lewej. Spoglądam. Ruch. Kiwam się na boki. Słyszę wstawanie i do okna. Nie zamykaj – głos słyszę swój, a myślę, że to tylko myśl. Okno zatrzaśnięte, ale słychać. O Jezu, refren. Śmiech.

– Nie przyszliśmy tu słuchać muzyki!

Będę brał cię. Liczenie. Liczenie. *W aucie*. Liczę na liczenie. *Mnie? Ehe*. Jeden, dwa, trzy, cztery, klamka, pięć, myśl, jeden, dwa, trzy, cztery, myśl, pięć, sześć, myśl, osiem,

dziewięć, myśl, dzwonek, wreszcie. Niezliczone istoty ślubuję wyzwolić. *Skąd mam wranglery, heh, pyta się ona*. Nieskończone ślepe namiętności ślubuję wykorzenić. *Ja się uśmiecham i mówię Baltona*.

Niezmierzone bramy dharmy ślubuję przeniknąć. *Weź daj mnie rękę, słodka jak z miodu*. Wielką drogę Buddy ślubuję osiągnąć. *Wezmę cię w aucie na sto różnych sposobów*.

Ukłon. Dzwonek. Kurwa, nie w tę stronę. Idę. Ulga w kolanach. Nagle ręka łapie mnie za brodę i unosi. Znów się garbiłem? Idziemy. Zaraz drzwi. Myśl, czy chce się siku. Myśl, czy chce się pić. Obracam się na wypastowanej podłodze, kłaniam się do sali i wybiegam. Zajęte. Do dzbanka z herbatą. Krakers. Piję, piję, chrupię, piję. Zakruszona broda. Wytrzepuję ją, żeby nie zobaczył. Kibel wolny. Sikam.

Dzwonek. Wstaję, ślizgam się do pokoju, jak w przedszkolu w wełnianych skarpetach. Drzwi uchylone lub niedomknięte. Wchodzę, zamykam za sobą, ukłon. Podchodzę do maty, schylam się, klękam, głowa do ziemi, ręce przy uszach, dłonie przekręcam i podnoszę nad uszy. Siadam.

– Co cię do mnie sprowadza? – Uśmiecham się.

– Oczy. Lekarz mówi, że mam jaskrę; nic mnie przez ostatnie lata nie przestraszyło bardziej. A już myślałem, że niczego się nie boję.

– Doskonale.

– Bez żartów. Stracić wzrok to chyba gorsze niż śmierć.

– Nie chcesz się bać?

– Nie.

– To jak chcesz żyć?

– No, bez lęku. Chyba to po to buddyzm cały jest, nie?

– Ale przecież możesz stracić wzrok. Jezu, zabiję go.

– Jeszcze nie wiem na pewno.

– Czytałem artykuł o dwóch braciach, co postanowili, zanim stracą wzrok, wyruszyć w podróż, żeby zobaczyć kanion Kolorado. Bo widzisz, Julku, życie jest po to, żeby wszystko po kolei tracić; pytanie, czy ty już umiesz.

Mój nauczyciel nie mówi, żeby nie bać się na zapas. Mój nauczyciel zen próbuje mnie w lęku utopić. No, ale ja mu mówię, że jaskra chyba nie oznacza jeszcze ślepoty, poza tym nie wiem na stówę, czy to jaskra. Cisza. Patrzy i uśmiecha się. Dodaję, że spanikowałem tylko tak.

– Czytaj sutry, póki jeszcze możesz.

– Nie chcę gadać o oczach!

– Koan masz?

– Mu.

– A, zapomniałem. Czym jest Mu, kiedy jedziesz samochodem?

– Nie mam prawa jazdy.

– Nie, Julku, źle.

– Tego się bałem.

– Coś jeszcze?

Mówię, że nie, a on podnosi dzwonek i dzwoni. Jestem ostatni. Kłaniam się, wstaję.

– Pomóc ci?

– Tak, Julku.

Rozsupłuję mu nogi z półlotosu, podciągam go tak, żeby wstał. Opiera się o mnie. Nogą podsuwam fotel, żeby się przytrzymał.

– Wyprowadzić cię?

– Nie, idź już.

– Na pewno?

– Nie!

Co za uparty bałwan. Bardzo bliska mi postawa.

– Dobra.

– Idź, dzwoń, cztery ślubowania.

– Były.

– Co było?

– Ślubowania.

– Jeszcze raz!

Ślubowania. Pokłony. Dziękuję.

Trudno tak non stop nie oceniać świata, ale miewa się momenty. O taką pustkę piękną cztery dni się szarpałem. Tylko że jutro już nie będzie po niej śladu. Sprzątamy i idziemy w upał Pruszkowa. Część przyjechała samochodami z Gorzowa, Krakowa, a z Warszawy to w zasadzie ja i mistrz zen. Sensei jedzie do lekarza w centrum. Łysy, sześćdziesięcioletni facet w czarnej kiecce i new balance'ach. Kiedyś nosił najki. Kręcimy się koło dworca. Pustka we łbie rozlewa się na to całe moje „ja", na ten upał, stukot towarowego, wróble przy śmietniku, Ukrainki jakieś i chłód kawiarni, do której wchodzimy z nadzieją, ale ciastek nie ma.

– Cukru byś zjadł?

– Mhm… Gdzie jedziesz teraz?

Wzruszam ramionami, bo nigdzie nie jadę, ale mówię co innego:

– Na Śląsk. Szukać złotego pociągu.

– Bardzo dobrze.

– Żartuję.

– Doskonale.

Przebić się przez język zen jest dość ciężko. Trudno nim mówić, trudno pisać. Inaczej układa te same wyrazy, korzysta z jeszcze innych, nałożonych na siebie języków i z pojęć, których definicje są tylko w języku intuicji, więc czasem można przez niego dostać kurwicy. Robię to od lat, ale nie umiem.

– A jak było w Pakistanie?

– Tadżykistanie. Skończyłem jazdę przez ten cały ZSRR i już teraz koniec.

– Z czym koniec?

– No, nie tykam turystyki ani czasu przeszłego.

– Przecież codziennie zajmujesz się przeszłością?

– No tak, ale się nią nie zaciągam. Najlepiej czuję się w moim mieście i bezpiecznie przeniosłem tu swoje obsesje. Mam podróż, przeszłość, pieniądze i nikt mi nie powie, że jestem turystą.

Sensei zastyga jak ten sierpniowy upał. Ale w głowie u niego toczy się walka z bezruchem. Albo to tylko u mnie w głowie toczy się spektakl o jego głowie, ale to niczego nie zmienia. Noga drga, drga, drga i krok. Ten krok widać na jego zaciśniętych ustach. Stoimy i czekamy. Wydaje się, że tej ciszy nic nie przetnie, ale zaraz słychać gwizd. Hamuje. Zanim się zatrzyma, my w rozruchu, idzie gładko. Wsiadamy.

– Kasujesz? – pytam.

– Nie, zaraz Warszawa, miesięczny mam.

Jedziemy chwilę w milczeniu i wyglądamy; przed nami poważne zadanie: przejść na początek składu – będzie bliżej wyjścia na Śródmieściu.

– Idziemy?

Sensei zaciska usta. Rozluźnia. Przygląda się nodze, która się nie rusza.

– Dobrze ci idzie.

– Cicho bądź!

Czuję ten wysiłek. To ten sam, kiedy jestem pasażerem samochodu wjeżdżającego pod górę. Całą mocą mu pomagam.

Podnosi się. Idziemy. Łapię go za ręce, ale je wyrywa. Zabujało pociągiem. Idziemy. Kiedy mijamy Piastów, rozglądam się jak zawsze, czy stoi wszystko, co na pewno stoi. Hala dworca i kiosk przy niej.

– Moi dziadkowie tu mieszkali.

– Wiem.

– Skąd?

– Mówiłeś. Idziemy dalej, Julku.

Biorę jego rękę i tym razem nie daję sobie wyrwać. Między Piastowem a Ursusem pokonujemy kawał drogi.

– Zjadłbym coś.

– Ciastko?

– Kanapkę z szynką.

– Przecież ty nie jesz mięsa.

– Ale bym zjadł.

Miejsce się zwolniło, więc łapię go mocniej i ciągnę za sobą, choć on nie rusza nogami i krzyczy, żebym przestał. Trzech typów ma na nas zagapienie. Zastygli w tej chwili przed wymianą znaczących spojrzeń. Jeden nie ma zębów. Jacyś tacy muszkieterowie z Żyrardowa. Młodzież koło trzydziestki. Piwa niekraftowe i krótkie spodenki.

– Pan siada – mówi ten bez zębów. Sadzam.

– Odpocznij.

– Dobrze.

Chwila milczenia.

– Słuchaj, sensei, a Dalajlama to nie je mięsa przypadkiem?

– Przy mnie nie jadł.

Często nagabuję go o takie niby buddyjskie sprawy, które napoczynam najpierw w internecie. Niech mistrz powie, czy Dalajlama brał pieniądze od tych, co rozpylali sarin w tokijskim metrze. Czy Roshi Maezumi rzeczywiście tyle pił? Czy nauczyciel Leonarda Cohena molestował uczennice? Ale najbardziej interesuje mnie ten człowiek w drodze. Gdzie on się gubił, skręcał, zawracał i odnajdował. Jeśli się odnajdował.

– W całym tym buddyzmie najbardziej lubię opowieści o twoich przygodach.

Kiwa głową i nic nie mówi. Potem kiwa na znak, że idziemy. Łapię go za ręce i podnoszę. Bezzębny chyba jest szefem, bo mówi tylko on. Pyta, czy pomóc. Sensei mówi, żeby zajął się swoimi sprawami.

I wtedy pojawia się konduktor.

– Panowie, bilety poproszę.

Bezzębny i koledzy mówią, że już mieli sprawdzane. Z senseiem podajemy miesięczne.

– A panowie, gdzie dosiadali?

– Ursus – mówi sensei, kiedy ja mówię, że Włochy.

– Włochy dopiero przed nami.

– Niesamowite, że tyle świata objechałeś, żeby wylądować w Tworkach – mówię, kiedy teatr westchnięć konduktora niknie w stukocie.

– Trochę objechałem. A teraz ledwo idę.

Zaczynają się schody. Te nowe składy nie są na jednym poziomie.

– Idziemy czy zostajemy?

Sensei patrzy na te trzy schodki, mierzy się z nimi i w końcu mówi, że idziemy. Pomagam mu wstawiać nogi; jakaś dziewczyna wstaje i łapie go za ręce.

– Pan nie powinien chodzić o kulach? – pyta.

– A pani?

Dziewczyna nadal pomaga, ale już się nie wtrąca. Jesteśmy na wyższym poziomie. Włochy.

– W Australii byłeś wcześniej czy później? – Pcham go i ciągnę za język.

– Jak wyjechałem z Dharamsali, to parę lat spędziłem w klasztorze Haein sa w Korei.

Nigdy na takie pytania nie odpowiada całym akapitem, rzuca tylko urywek.

– Byłem w tym klasztorze z żoną. Bardzo ładnie.

– Bardzo, tylko że w praktyce zen nie chodzi o to, żeby było ładnie.

– A potem, gdzie byłeś?

– Dalej.

– Gdzie dalej?

– Idźmy dalej.

Ludzie w pociągu kibicują naszej wyprawie. Konduktor przyszedł jeszcze raz, pyta, czy nam nie pomóc, ale sensei mówi, żeby lepiej sobie pomógł. Schodzimy. To znaczy ja przodem, on trzyma się oparcia fotela i nagle fajt! na parę takich grubszawych.

– Nic się nie stało! – krzyczą oboje. Wstają i pomagają sprowadzać.

Sensei dziękuje, ja ich przepraszam, potem na odwrót i idziemy dalej.

– I gdzie dalej z Haein sa?

– Poczekaj. Zatrzymuję się.

– Z gadaniem poczekaj. Po co ci to wszystko?

Mówię, że mnie to ciekawi, ekscytuje i próbuję zrozumieć.

– Na Sri Lankę – mówi, ale nie brzmi, jakbym go przekonał.

– Byłem.

– I co tam znalazłeś, Julku?

– Pola herbaciane.

– Doskonale. A ja znalazłem skorumpowanych mnichów.

– Jak u nas?

– A nawet jeśli nie skorumpowanych, to tak niezadowolonych z życia, że uciekłem. Rok mi tam wystarczył, żebym uznał tę religię za taką jak każda inna.

Facet wstaje bez słowa i sensei przysiada na zwolnionym fotelu.

– Nie masz już siły?

– Mam i nie mam. Trudno powiedzieć.

– A w Australii czego nie odnalazłeś?

– Wszystko odnalazłem – rzuca i milknie.

– Nie chcesz o tym gadać?

– Chcę, ale chciałbym, żebyś zajął się praktyką zen.

– A czym ja się zajmuję?

– Nie mam pojęcia.

Nie wiem, czy jest wściekły, czy przeciąga rolę surowego mistrza. Odwraca się w stronę współpasażerek, babci z wnuczką, które trochę, nie bardzo, ale jednak, chichoczą.

– Panowie – starsza pani nie wytrzymuje – wnuczka ma pytanie do was.

– Słucham. – Sensei zwraca się do dziecka, które natychmiast chowa dłonie między nogi i opuszcza głowę.

– No, zapytaj panów.

– Nie mam pytania, babcia, nie mam pytania.

– Nie bój się, pytaj – dołączam do tej przemocy.

– Czemu pan ma taką czarną sukienkę?

– Dobre pytanie. – Sensei daje jej pierwszą lekcję.

– Pan jest moim nauczycielem buddyzmu – mam przymus konwencjonalnego ratowania sytuacji – i się nie przebrał, bo ma problem z nogami.

– Zapytaj panów, co to jest buddyzm. Ale mała nie pyta, a my nie naciskamy.

– Jeszcze ma czas, żeby się wycierpieć, zanim usłyszy dzwonek. – Sensei mówi do mnie, choć babcia oczywiście to słyszy i średnio jest zachwycona. – No dobrze, o czym rozmawialiśmy?

– O Australii.

– Tak?

– No tak…

– No dobrze. W Australii odnalazłem miłość i pognałem za nią do Nowego Jorku.

Jest! Udało się zajść bardzo daleko.

– No to teraz pytanie finalne.

– Strzelaj.

– Jakim cudem jesteś nauczycielem zen? Uśmiecha się.

– Takim, że miłość się skończyła. A zanim wyjechałem do Indii, poznałem Roshiego Kapleau i spotkałem go znów w Stanach.

I cisza. Myśli, że powiedział już wszystko, co miał powiedzieć. No więc pytam go, co z tego, że Kapleau spotkał.

Trzy razy go pytam, zanim łaskawie decyduje się odpowiedzieć, a sekundę później myślę, że może jemu mówić trudno.

– On dał mi przekaz dharmy. To znaczy nie spotkałem go, tylko odszukałem.

– A tu czemu wróciłeś?

– Bo mi Roshi, zanim umarł, kazał. Wcale nie chciałem, bo mieszkałem w Kalifornii.

– Ale przyjechałeś, żeby wyzwalać niezliczone cierpiące istoty.

– Czego oczywiście nie umiałem.

– No jak nie umiałeś?

– A co według ciebie umie początkujący nauczyciel zen? Zagiął mnie.

– Roshi uczył mnie tego, że pierwszy krok do wyzwolenia jest, kiedy nie ma się już siły na walkę z cierpieniem. Więc Tworki wydały mi się idealnym miejscem. I dom nie był drogi.

– To dobrze, że szukałeś uczniów też na Sobieskiego.

– Alkoholicy są bardzo wytrwałymi praktykami zen, Julku. Na początku, bo po roku uznają, że są uzdrowieni.

– Ja tak nie myślę.

– Nie wiem, co ty myślisz, ale nie ma na co czekać. Jest tylko trochę czasu.

– Był taki okres, że czułem się dzięki zen naprawdę dobrze. To znaczy spokojnie całkowicie, ale teraz czuję, że ten czas mija.

– I wciąż uważasz, że któryś z tych czasów jest lepszy?

– Nie mam nic przeciwko przemijaniu, ale chciałbym ten spokój zachować.

Wzdycha i teraz wyraźnie gra rozczarowaniem. Rozgląda się, jakby chciał wstać, ale rezygnuje.

– Ile jeszcze mamy?

– Ze dwa, nie, poczekaj… – Wychylam się nad ludźmi. – Wagon.

– Do Śródmieścia.

– Jedna stacja.

– To idźmy do wyjścia.

– Dobrze – mówię, łapiąc go znów za ręce.

– W zen nie chodzi, Julku, o to, żebyś czuł się dobrze. Nie chodzi o to, żebyś nie czuł lęku.

– Nie do końca mi się to podoba.

– Trudno. Było iść na kurs uważności. Na religię dla korporacji, gdzie w umyśle masz rozkładać równomiernie to wszystko, co niewygodne. Zauważać wszystko, niczego nie oceniać. Pamiętaj, że to nie jest nauka Buddy. Teraz wszyscy myślą, że teraźniejszość, jakaś mityczna chwila ratuje przed życiem w tych czasach.

– A co ratuje? Rozkłada ręce.

– No co? No dokończ, weź.

– Może inne czasy?

– Przeszłe czy przyszłe?

– Może te, kiedy cię po prostu nie ma?

– Po śmierci? Wzrusza ramionami.

– O Jezu, a tobie ten buddyzm na coś pomógł? Syczy coś i jakby do siebie gada:

– Może wyciągniesz z tego jakąś naukę dla siebie, ale chyba nieprędko. Może w jakichś innych czasach weźmiesz odpowiedzialność za swoje życie.

Pokazuję mu język. Drzwi się otwierają, jesteśmy na to przygotowani już od Ochoty, ale sensei ma ten swój bezruch w najbardziej emocjonującym momencie, czyli jeszcze w pociągu przed krokiem na peron.

– Wyjdę i cię złapię.

– Nie, poczekaj Julku. Jedziemy na Powiśle.

– Przepraszam, Julku. – Wzruszam ramionami.

– Przepraszam, że byłem niemiły.

Wysiadamy na Powiślu i zaraz wracamy pociągiem na Śródmieście, żeby już za dużo nie chodzić, kiedy się stoi co krok.

– Dasz już radę?

– Dam, Julku. Dziękuję ci.

Już na Patelni odwracam się, a on stoi tam, gdzie go zostawiłem. Chcę wrócić, ale bitwę dwóch myśli wygrywa ta o powrocie do domu. W stanie po odosobnieniu widzę bardzo dobrze, że zupełnie nie wiadomo, czemu to jedna z nich jest zwycięska. Że to nie ja wybrałem. Że walka toczy się sama i samo coś wygrywa, a potem to ja jestem przegrany albo wy.

***

W metrze Instagram. Cztery dni nie byłem, to mogę sobie pozwolić. Jakiś typ zabrał tęczowe najki na tęczowe góry w Peru. Wstawił je w kadr tak, że pasują do tych gór. Oznaczył sklep z najkami i napisał, że wygląd gór to wynik zmian klimatu, spowodowanych emisją CO^2. Contentowy kolonizator. Na Wikipedii to powinno być. Kolonializm contentowy – przekonanie, że ziemia jest źródłem pozyskiwania treści na Instagram.

Przełączam się na menedżera reklam Facebooka i odpalam promocję sklepu.

Czuję wzrok siedzącego obok mnie typa. Albo gapi się na ekran, albo, co bardziej prawdopodobne, patrzy mi na ręce. I teraz do wyboru są tatuaże albo blizny po tym, jak podcinałem sobie żyły. Przez trzy lata po wyjściu z odwyku nosiłem długi rękaw. Nie chwytałem wysoko poręczy, żeby mi te ślady nie wystawały. Część tatuaży trudniej było ukryć, bo dwa mam na wierzchach dłoni. Lewy jest w porządku, bo to Tintin, gorzej z prawym. Próbowałem usuwać go laserem. Dłoń tylko puchła, ale nie znikał. Na bliźnie na prawym nadgarstku jamnik Pepe. Okala całą rękę. Dzieci bardzo lubią ten tatuaż. Później niedokończony Philip Marlowe przy oknie. To też pamiątka naćpania. UFO. Wyżej Tytus de Zoo. Zupełnie trzeźwa sprawa. Jeszcze na szyi malunek z Brunona Schulza. Podniosły, nieudany, naćpany. Znaczek z płyty Leonarda Cohena. Zrobiony tak, że ludzie myślą, że to skaryfikacja. Pingwin. Konkretnie pingwin z Herzoga. Lonely derange penguin. No i jeszcze najnowszy Kwapiszon. Bardzo ładna postać Bohdana Butenki.

Plac Wilsona. Wysiadam.

Dom pusty. Na spacer poszli. Biorę się do zmywania. W głowie też pusto jeszcze, ale kiełkuje niepokój. Po zmywaniu siadam do komputera i chcę poszukać jakiegoś miejsca na wycieczkę rodzinną. Patrzę na Dharamsalę, gdzie siedzi Dalajlama. Zaglądam w zdjęcia na Google Maps.

Wyjmuję zupę z lodówki, podgrzewam trochę i zabieram się do jedzenia. Dobra. Za oknem słyszę wołanie: – Pepe, wracaj tu! – Dolewam sobie więcej, żeby żona przyłapała mnie jeszcze na jedzeniu. Jamnik wciska się przez szparę w drzwiach i od razu do mnie. Cieszy się jak dziki. Nie było mnie cztery dni. Za nim Kasia.

– Pyszna zupa! – krzyczę na przywitanie.

– Tak?

– Naprawdę.

Mówi, że jest głodna, a ja, że jeszcze zostało. Staje nad kuchnią i się zawiesza. Coś będzie zaraz z tego chwilowego milczenia.

– Podgrzałeś to?

– No tak.

– To chłodnik.

Próbuje jednak, krzywi się, bierze gar i pędzi z nim do sedesu. Krzyczę, że tylko trochę podgrzałem, trzy minuty, ale ona odkrzykuje, że się ścięło, i jest bliska płaczu.

– Zupa to zupa – rzucam, niestety.

– Chłodnik. Pisałam ci, żebyś nie podgrzewał.

– Oj, weź, była pyszna, a ty wylałaś do kibla. No weź.

– Ścięło się!

Mówię jej, żeby oddychała lepiej, ale ona, że się przejdzie. Ja zostaję. Oddycham, wiadomo, ale w głowie słyszę głównie, że będę brał cię w aucie. Nie mogę tego wyłączyć, więc odpalam na cały regulator hymn Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i za jakiś czas przychodzi ukojenie.

KRYTYKA

Karolina Kurando

Kulturoznawczyni, autorka bloga krytycznoliterackiego books-silence.com, członkini kolektywu redakcyjnego kwartalnika literackiego „Rzyrador”, studentka na Wydziale Polonistyki UJ. Zajmuje się krytyką literacką, autobiograficznością i autobiografizmem w literaturze, pograniczem prozy i publicystyki oraz literaturą współczesną światową i literaturą polską po '89 roku.

Wyznaję przeszłość na portowej ławce

K. Barry, Nocny prom do Tangeru

Kevin Barry zamyka czytelnika w pudełku, którego wnętrzem jest port w Algeciras, razem z dwoma głównymi bohaterami, Irlandczykami w średnim wieku, i unoszącym się nad nimi, ujawniającym się jedynie w niektórych momentach, duchem opowieści. Przestrzeń hiszpańskiego portu, Augé'owskiego nie-miejsca, jest ciasna i klaustrofobiczna; Barry usadza mężczyzn na ławce nieopodal punktu informacyjnego, i oddaje im głos, nas zaś ustawia gdzieś z boku, i pozwala bezczelnie podsłuchiwać rozgrywające się pomiędzy Charliem i Mossem dialogi. To właśnie dzięki nim, podjęta przez autora decyzja o stworzeniu powieści opierającej się na retrospekcjach i delektowaniu się sentymentami z przeszłości, nie wydaje się być nietrafiona, i powiedzmy sobie otwarcie: banalna.

Nocny prom do Tangeru jest bowiem historią dwóch przyjaciół, których w minionych dekadach łączył narkotykowy biznes i miłość do tych samych kobiet. Już samo skrótowe przedstawienie tej opowieści niesie za sobą jakiś znajomy posmak schematu i najprostszych rozwiązań fabularnych, przez co jednocześnie nie wydaje się być ona szczególnie pociągająca. I wcale taka być nie musi (chociaż ostatecznie okazuje się, że jest), ponieważ to nie treść i plot twisty decydują o fenomenie tej powieści, ale jej forma, to, jak jest skonstruowana. *Nocny prom do Tangeru* podzielić możemy na dwie części: po pierwsze, Barry kreśli przed nami sceny z teraźniejszości, które zbudowane są na niekończącej się rozmowie mężczyzn i dopowiedzeniach tworzonych przez wspomnianego ducha opowieści, budujących specyficzny nastrój i potęgujących wrażenie teatralizacji świata przedstawionego. Wszystko rozgrywa się w dialogu: dowiadujemy się, że mężczyźni przyjaźnią się od lat, znają się jak przysłowiowe łyse konie, a w porcie siedzą nie dla własnej przyjemności (co chwilami zdaje się być wątpliwą kwestią, ponieważ z tonu ich rozmowy możemy wyczytać, że bawią się wcale nie najgorzej), ale dlatego, że na kogoś czekają. Na kogoś, kto o ich czekaniu nie zdaje sobie sprawy, a gdyby się dowiedział, omijałby ten konkretny port łukiem nadzwyczaj szerokim, spotkanie z mężczyznami oznaczałoby bowiem konfrontację z bolesną przeszłością, i byłoby to spotkanie, mimo wszystko, na pewno bardzo sentymentalne.

Jak więc widzimy, wszystko w tej powieści rozbija się o przeszłość i te uciążliwe, niemożliwe do pozbycia się, ludzkie sentymenty.

Teraźniejszość (rzecz dzieje się w październiku ’18) przeplata się z przeszłością (lata 90. oraz wczesne dwutysięczne), i to ona wyznacza nam drugą część powieści, którą nadal budują dialogi, ale w której pewne rzeczy ulegają zmianie: wzniosły duch opowieści przestaje być obecny, a na jego miejsce pojawia się dużo bardziej przyziemny narrator; ponadto akcja nie ogranicza się już do jednego miejsca, co dynamizuje nam kolejne zdarzenia i sprawia, że zupełnie odbiega od teatralności zdarzeń teraźniejszych. Z początku ta część poświęcona przeszłości może zdawać się zbędna, można odnieść wrażenie, że odbiera ona *Promowi* tę specyficzną wyjątkowość; w trakcie lektury okazuje się jednak, że jest ona niezbędną podszewką dla akcji właściwej, bez której wiele wypowiedzi bohaterów pozostałoby jedynie pustymi, niewiele nam mówiącymi, frazesami.

Jądrem *Nocnego promu do Tangeru* jest postać Mossa, to na nim skupia się uwaga narratora podczas odkrywania kart z przeszłości. Charlie jest jego najlepszym przyjacielem, kiedyś wrogiem, ale i cieniem, na wielu płaszczyznach. Spośród tej dwójki to właśnie Moss był tym lepiej sobie radzącym w życiu – to on odnalazł miłość, jemu urodziła się córka, jego życie zdawało się być tym bardziej ułożonym. Skupiam się tutaj na elementach prywatnych, rodzinnych, bo to właśnie one zdają się być dla naszych bohaterów tymi najważniejszymi. W pewnym momencie Charlie mówi: „Może właśnie stąd biorą się nasze wszystkie problemy. Z rodzin. Albo ich braku.” I to właśnie on będzie tym, który po dziś dzień cierpi z braku miłości. Nie jest to cierpienie trywialne, uromantycznione; stanowi ono zwykłą tęsknotę za stabilizacją, za chociaż pozorem normalności, której doświadczył jego przyjaciel. Co istotne, ta tęsknota nigdy nie wynikała z zazdrości ani rywalizacji. Chociaż Charliego ustawiamy w roli cienia, musimy pamiętać o jednej bardzo ważnej rzeczy: bez niego nie byłoby Mossa, ponieważ jest on jego uzupełnieniem, ale i tłem, na którym Moss się odbija.

Myślę o *Promie* jako o opowieści przede wszystkim o przyjaźni. Lecz nie o takiej z wyboru – na przykładzie relacji Mossa i Charliego, Barry udowadnia nam, że od pewnych zdarzeń losu, a przede wszystkim, od niektórych ludzi, nie jesteśmy w stanie uciec, są oni bowiem na zawsze wpisani w nasze życia. To takie osoby, które niejednokrotnie trwają przy nas intensywniej niż rodzina czy najbliżsi przyjaciele. Osoby, których

możemy nawet i nienawidzić, ale o których wiemy, że są – i możemy na nich polegać. Co w końcu pobudza jakąś nić sympatii. *Prom* to również opowieść o tym, że to właśnie wspólna przeszłość, najczęściej nie najłatwiejsza, decyduje o obecności takich ludzi w naszym życiu. Tak naprawdę powieść Barry'ego nie jest historią o handlarzach narkotykowych, heroinistach, o dilerskim światku – o fachu głównych bohaterów dowiadujemy się stosunkowo późno. Autor odkrywa przed nami karty bardzo powoli, jakby czerpiąc satysfakcję nie tyle z szokowania, co z intensywnego zaskakiwania. Przez dość długi czas o Mossie i Charlie'm myślimy po prostu jako o sympatycznych Irlandczykach koło pięćdziesiątki, którzy z jakiegoś powodu postanowili posiedzieć sobie na portowej ławce. W scenach teraźniejszych ich postaci są niemalże groteskowe, podobnie jak ich rozmowy. Dopiero kiedy poznajemy ich przeszłość, okazuje się, że mają wiele za uszami, co urealnia i rozbudowuje, wzbogaca ich postacie; ale jednocześnie zaczynamy postrzegać ich w nieco inny sposób. Co zdaje się być celowe, ponieważ Barry w ten sposób wykazuje, jak łatwo jest kogoś powierzchownie oceniać, i jak wielkim oceanem tajemnic może być nasza przeszłość.

Powieść Barry'ego jest sprawnie skonstruowaną kompozycją prozatorską, której wielkość zbudowana jest na dialogu i używanym przez bohaterów języku (reprezentuje on posługujące się nim postaci, dzięki niemu jesteśmy w stanie wiele się o nich dowiedzieć). Możliwość zapoznania się z tymże fenomenem w polskojęzycznej wersji zawdzięczamy bardzo dobremu tłumaczeniu Łukasza Buchalskiego. *Nocny prom do Tangeru* to opowieść o surowej przyjaźni oraz o miłości w jej najróżniejszych wariantach; o wcale nie tak oczywistej relacji przeszłości z teraźniejszością. A przede wszystkim: o niesłabnącej wierze w drugiego człowieka.

Łukasz Najder

Urodzony w 1976 r. Z wykształcenia literaturoznawca, redaktor w Wydawnictwie Czarne. Pisze m.in. dla „Dwutygodnika”, „Pisma”, „Polityki”. Parę lat temu wydał jako e-book zbiór fejsbukowej prozy ulotnej zatytułowany *Transmisje*. Mieszka w Zgierzu.

Silent disco

Część I

Naprawdę krótka historia ciszy i hałasu w Polsce

Jeśli żyłeś w schyłkowej fazie PRL-u, pamiętasz inny świat. Ale – spokojnie. To nie jest ta opowieść o ejtisach, którą tak dobrze znamy. DeLorean zostaje w garażu. Interaktywne muzeum nostalgii, w którym generał Jaruzelski, wyśpiewując hity Kombi, obsługuje saturator, ekrany tętnią od *5–10–15,* a hostessy w kostiumach Sigmy i Pi roznoszą na srebrnych tacach kreski vibovitu, jest dzisiaj zamknięte. O syfie, pięknie i zwyczajności tamtych czasów można opowiedzieć na tysiąc sposobów. Żaden z nich jednak nie będzie wolny od zniekształceń, żaden – c z y s t y. Wspomnienia należą do wspominającego. Są pochodną nie tylko realnych, osobistych doświadczeń – i echem cudzych przeżyć – ale również poglądów i statusu. Przeszłość to widok z okna twojego obecnego mieszkania. Na przykład ja pamiętam, że było ciszej.

Oczywiście w Polsce przed rokiem ’89 nie obowiązywały jakieś wyśrubowane normy hałasu, obywatele zaś nie przemieszczali się, bezgłośnie lewitując. Na dodatek – w milczeniu. Wyjaśnienie tego zjawiska, czyli kontrastu między rozjazgotanym teraz a wtedy wprost z Erika Satie, okaże się całkiem banalne. Po prostu na skutek niedoboru wszystkiego i technologicznego zapóźnienia Polski Ludowej typowe źródła łoskotu, takie jak auta, sprzęt hi-fi, małe AGD i rakiety kosmiczne, należały do trudno dostępnych towarów luksusowych. Przynajmniej w Łodzi, na tych naszych przedmieściach, gdzie właściciela bordowego dużego fiata bądź unitry z kolumnami znano z imienia i nazwiska – podobnie jak opalizujących półbogów dysponujących telefonem – a w ciepłe weekendowe popołudnia mogliśmy grać w piłkę na ulicy i przez dobre kilkanaście minut naszej tiki-taki nie przerywał żaden polonez ni żuk.

Rzecz jasna i w PRL-u zgrzytały tramwaje, huczały budowy i fabryki, gęsty, ambientowy poszum wisiał nad skrzyżowaniami wielkich miast. Zdarzały się imprezy okolicznościowe z użyciem akordeonu, wesela wyprawiane w domach, a nawet późnonocne misteria wokół magnetofonu Kasprzak. Dzieci zbijały się w rozwrzeszczaną podwórkową hordę. Ci, którzy przebywali na stałe w strefie rażenia warkotem lub Wham!, mają z pewnością odmienne zdanie i wspomnienia zupełnie inne od moich, w znacznej mierze bukolicznych. Ale nic już na to nie poradzę. Świat, w którym

uczestniczyłem, ta peryferyjna Łódź doby *Niewolnicy Isaury*, Uwe Amplera i Papa Dance, raz po raz jakby zwalniał, wręcz nieruchomiał i okazywał się dekoracją świata, planem filmowym, na którym trwa przerwa.

Pamiętam ciche noce, od wielkiego dzwonu zakłócane przez błąkających się imprezowiczów z dancingu na Rzgowskiej. Pamiętam dławiące od nudy ciche niedziele, zwłaszcza te letnie, skwarne. Ciche wakacje bez kolegów, kiedy oni już wyjechali, a ja jeszcze nie, więc snułem się po wymarłych podwórkach, pustym boisku obok szkoły, ogrodach, w których nie było żywego ducha. Chyba że liczyć ptaki i strachy na ptaki, paraludzkie sylwetki zmontowane z drutów zbrojeniowych i starej marynarki bądź swetra. Pamiętam ciągnące się w nieskończoność zimy. Spędzaliśmy je w mieszkaniu cichym, wytłumionym, bo tuż przed Wszystkimi Świętymi dziadek przynosił z komórki drugi komplet okien i za pomocą wyrafinowanego systemu wihajstrów i klocków pod wihajstrami spajał je z tym zamontowanym na stałe. Szczeliny uzupełniał watą. Na wiosnę czekaliśmy więc w lekkiej duchocie za pancernym dubletem. Czekając, każdy z nas oddawał się ulubionym zajęciom. Ja czytałem, mama otwierała się na przekazy meta-fizyczne – horoskopy, Richard Chamberlain i tak dalej – dziadek systematyzował akcesoria do golenia, w tym kolekcję cudownych minerałów na zacięcia, babcia natomiast cerowała moje ubrania, a przed snem, w kompletnej ciszy i mroku, zajadle szeptała do siebie niczym ta kobieta z Yoknapatawpha, która co noc od nowa układa sagę rodziny i hrabstwa.

Przypuszczam, że to właśnie dzięki tej ciszy utrwaliłem w pamięci wiele osobliwych dźwięków mojego dzieciństwa: ryż sypany na obity blachą balkon, ucztujące tam stadko gołębi i cukrówek, usztywniona reumatyzmem ręka sięgająca do papierowej torebki, wrestling wróbli w koronie akacji, przejrzałe gruszki rozbijające się o chodnik, sipa, którą dozorca odgarniał śnieg, wyłuskiwanie pogrzebaczem fajerek, dobiegająca z pieca mowa ognia, sklep zoologiczny – za sprawą oszczędnego światła i pomp w akwariach przypominający OIOM dla rybek.

Zarazem im było ciszej, tym donośniej wybrzmiewał hałas. Na przykład *Felicita* podkręcana do oporu w następstwie czyjegoś prywatnego transu, Sopot zawodzący w telewizorku turystycznym ustawionym na werandzie domku wczasowego w Głownie – rozżarzone oko pośród ciemności i drzew, crescendo komentatora, wrzawa odległego stadionu w La Coruñie czy Barcelonie, spazmatyczne okrzyki kibiców, kiedy

Polska grała na mundialu w Hiszpanii, a opustoszałe ulice i osiedla robiły się kwadrofoniczne.

Ciszę zaliczano do cnót. Dowodziła też cnoty. Pomimo odgórnej krytyki i dekad oczerniania jeszcze czterdzieści, pięćdziesiąt lat po wrześniu 1939 roku II RP jawiła się niemałej części społeczeństwa jako państwo idealne, którego ustrojem był *savoir-vivre*. Uznaniem darzono więc mityczną kindersztubę, w ramach której odruchowo uciszano zbyt hałaśliwe dzieci, w tym – cudze, sarkano, gdy w miejscu publicznym czyjaś rozmowa osiągała rejestry wagnerowskie, pukaniem w ścianę lub sufit komunikowano sąsiadom, iż zachowują się nieodpowiednio do pory, palec wskazujący przy ustach miał skonsternować gadułę, pieniacza, rozgadane koleżanki lub śmiejącego się tubalnie współpasażera z pociągu. Zasadniczo – człowiek głośny, ten, kto nie umiał lub nie chciał panować nad własną ekspresją, uchodził za osobę budzącą zażenowanie.

Cicho – ciszej – mogło być również ze względów bezpieczeństwa. Wprawdzie brutalny, paranoiczny stalinizm dawno minął, grudniowa junta ledwo dyszała, a socjalizm jako porządek i scena rozpadał się w pył, wciąż jednak „uważano". Właśnie tak powtarzała moja babcia: „Uważać!". „Nie należeć do niczego, uważać!" Nie podnosić głosu, nie krzyczeć, nie organizować się w grupki krzyczących, nie cieszyć się nazbyt dziko, bo zjawi się ktoś i spyta, czy to śmiech – czy może śmiech z kogoś? Lub czegoś. Dlaczego z partii? Komu i do czego to służy? „Mieszka tu jakiś krzykacz?" – zagadnął nas pewnego dnia mężczyzna w szarej ortalionowej kurtce. Nie sądzę, by dziesięciolatków grających pod bramą w kapsle wiązała solidarnościowo-podziemna omerta, ale faktem jest, że nie uzyskał jakiejkolwiek odpowiedzi. A nie uzyskawszy – rozpłynął się czym prędzej w powietrzu 1984 czy 1985 roku.

Nowy ład dało się najpierw usłyszeć. Zastanawiam się, co było dla mnie pierwszym odgłosem kapitalizmu, transformacji, III RP. Buczący domofon czy dzwonek wreszcie zainstalowanego telefonu, piski i muzyczki na C-64 czy sharp z głęboką, dwukasetową kieszenią, która otwierała się bardzo powoli, majestatycznie, z profesjonalną godnością? Uruchamiałem ów mechanizm ciągle i znowu, nawet jeśli nie miałem ochoty słuchać muzyki. Chrzęst, który dobywał się z tej czarnej skrzynki obklejonej runami obcej cywilizacji – DUBBING SPEED, X-BASS, PHONES – nie tylko bowiem przyprawiał mnie o dreszcz autentycznej, fizycznej rozkoszy, ale także napawał

dumą. Oto rekompensata za lata wstydu, kiedy posiadałem wyłącznie przedpotopowego szpulowca, jednego z tych, jakie widuje się dzisiaj w filmach o Stasi.

Pewnie już tego nie rozstrzygnę. Mogło być przecież jeszcze i tak, że Nowa Polska wcale nie wypuściła trailerów i promocyjnych dżingli. Po prostu wjechała w nasze życie z mocą Chóru Aleksandrowa (*feat.* Rammstein), a mnie udało się z kakofonicznej pieśni wychwycić ledwie parę brzmień i uznać je za swoje, zapamiętać jako soundtrack wczesnej młodości, akompaniament dojrzewania. No i co najważniejsze – słyszałem to, co słyszałem, nie dlatego, że Radio PRL definitywnie grzęzło w pogłosach i trzaskach rozszerzającego się niebytu, ale dzięki mamie, która z początkiem roku 1991 zmieniła pracę na o wiele lepiej płatną i mogła sprezentować mi komputer i magnetofon oraz odkupić dla nas wolny numer telefoniczny. Gdyby dalej była szeregową księgową bez najmniejszych widoków na awans – albo wraz z milionami transformacyjnych Polaków trafiła na bezrobocie – grałbym sobie w głowie zupełnie inną składankę *Nostalgic 90s*.

Kapitalizm jest głośny. Całodobowy obrót pieniędzy, towarów i ludzi musi taki być. Nie ma w tym przypadku, że giełda na Wall Street, serce tego systemu, jego przepompownia – główna, przypomina zlot charyzmatyków i wodzirejów, którym powiedziano, że za kwadrans rozpocznie się apokalipsa. Miliardy dolarów w nieustannym ruchu – i zależny od nich los jednostek i państw – przekładają się na gwar, język chciwości i ekstazy. Kapitalizm jest głośny, bo głośna jest ekspansja i głośne jest niszczenie dawnego, niekapitalistycznego ładu.

Playlistę w Polsce wymieniono sprawnie. Podzwaniającego szlifierza noży zastąpiła syrena Family Frost, milczące polonezy i fiaty – bulgoczące od basów beemki, a ogołocone, nieme delikatesy zamieniły się w dostatnie supermarkety, w których zawsze gra ta przyjemna, dobrze znana muzyka, plusz dla uszu. Ryknęły kina domowe. Zawtórowały im kosiarki i dmuchawy. Reklamy głosowe wyszły na ulice, globalny pop wdarł się do restauracji i pubów. Ścisłe centra miast jął przeszywać pisk nieistniejącego sokoła, postrachu gołębi brukających zrewitalizowane perły architektury. W pojazdach komunikacji miejskiej objawili się wajdeloci i heroldzi skandujący przez komórkę własne dane wrażliwe, a prócz tego – opisy świata i rady prozdrowotne. Komputeryzacja wniosła do biur i mieszkań stukot klawiatur, piknięcia nokii, szum wentylatorków w pececie, kosmiczno-głębinowy odgłos Gadu-Gadu, zgrzyt drukarek, murmuranda serwerów i awangardową muzykę poszukującą rodem z Warszawskiej

Jesieni – odbiór faksu. Cisza nocna, zwłaszcza w weekendy, stała się martwym prawem, reliktem czasów, kiedy na Ziemi panowali Sypiający i Przewrażliwieni. Niewinne pląsanie po sylwestrowej ulicy z zimnym ogniem w dłoni zostało wyparte przez godzinną kanonadę na powitanie Nowego Roku.

Ale w późnym kapitalizmie nie ma niczego za darmo – każda przyjemność jest obarczona ekstrakosztem, każde udogodnienie prędzej czy później zmieni się w udrękę albo wygeneruje szkodę. Wprawdzie auta wożą nam dzieci, sprawunki w biodegradowalnych torbach, walizki i kosze piknikowe, ale zarazem trują powietrze, odbierają przestrzeń (za sprawą parkingów improwizowanych i stałych dokonał się właściwie V rozbiór Polski), korkują drogi i przyczyniają się do masakry przechodniów. Na tym nie koniec. Nasze suvy, smarty i poniemieckie składaki wpływają też nieodwracalnie na krajobraz. By neutralizować huk samochodowego roju, na wylotówkach i poboczach autostrad postawiono ekrany akustyczne, ciągnący się niekiedy kilometrami Obustronny Wielki Mur Polski, a jazda między nimi przypomina straceńczy lot Luke'a Skywalkera kanionami Gwiazdy Śmierci ku jej śmiertelnemu sercu.

Bo zanieczyszczenie to nie tylko smog, chemikalia i ścieki po cichu spławiane rzeką, plastik w oceanie, smród zawiewający z pobliskiej fermy bądź spalarni, przesączający się do wód gruntowych szlam ze składowiska toksycznych odpadów czy odpadki z remontu podrzucone w lasku – to także hałas. Żyjemy w cywilizacji zgiełku, a żyjąc tak – narażamy zdrowie. Wbrew pozorom dźwiękowe skażenie otoczenia – zwłaszcza ciągłe i przekraczające normę – to nie ulotna dolegliwość, której można zaradzić, zamykając okna bądź „nie-myśląc-o-tym". Inwazyjny, szkodliwy hałas nie stanie się w cudowny sposób szumem w tle. Ostatecznie może doprowadzić nawet do chorób układu krwionośnego lub depresji. Bo temu, kto go doświadcza, będzie podnosił ciśnienie, zaburzał sen, fundował mordercze, obsesyjne myśli pod adresem imprezujących sąsiadów, ujadającego psa, robotników z młotami pneumatycznymi, buczącego miarowo i nieprzerwanie klimatyzatora na dachu niedalekiej Biedronki, szemrzącej trasy S13. Te myśli zaś – wizje powszechnej zagłady i spersonalizowanych cierpień – przysporzą mu jeszcze większego stresu i tak w kółko.

Możemy, rzecz jasna, demonstracyjnie boczyć się na rzeczywistość, obwiniając reklamę i globalizację o to, że wciskają nam większy telewizor, pojemniejszy samochód, najmodniejszego beagle'a oraz odśnieżarkę, ale to nasz apetyt na nowe i fajne jest

bezdenną, ssącą otchłanią. I to my uznaliśmy wygodę za nadrzędne człowiecze prawo. W rezultacie cały dzień spędzamy w mniejszym lub większym gwarze, wrzawie, zgrzytach – w strefie zero hałasu. Nie może być inaczej, skoro świat bez przerwy rozmawia przez telefon, krzyczy, coś drukuje, odpala silnik, dokonuje remontu, przemieszcza się, słucha Zetki. Jeśli nie mieszkasz w głuszy bądź wymarłym siole za Suwałkami, wiesz, że cisza to dzisiaj wyjątek, krótka przerwa w zgiełku. I coraz częściej luksus, na który stać niewielu.

Kapitalizm jest głośny i napawa się własnym rozmachem, wytwarzaną wrzawą i mocą, ale jego główni beneficjenci – miliarderzy, gwiazdy, CEO – na swoje domy, te szczególne miejsca, w których dorastają ich dzieci, wybierają raczej funkcjonalne zakątki z bezpośrednim dostępem do ciszy i nasyconego żywicą powietrza niż akustyczną kamienicę w śródmieściu lub gęstą zabudowę deweloperską. A jeśli z powodów zawodowo-koteryjnych nie mogą opuścić miasta, to będzie to penthouse, luksusowa, szczelna kapsuła nad harmidrem i wyziewami ulic, lub willa w kwartale innych willi, ostoja konserwatywnego podejścia do hałasu.

Lecz krezusi nie są w tym sami. Bo kiedy reprezentanci klasy średniej – i do tejże grupy aspirujący – osiągną sukces albo chociaż zdolność kredytową, od razu rozglądają się za lokum w arkadyjskiej scenografii. Ich pragnienie jest niekiedy tak desperackie i silne, że zadowalają się choćby kopyrajterską iluzją – jedną z tych Zacisze Residence, Ustronie Kijanka Gold, Rezerwat Szmaragdowy FreeDOM – dzięki której nabierają przeświadczenia, że oto wyrwali się z piekła wiertarek, sąsiedzkich awantur, jazgotu dzieciarni, porannych walk klaksonów oraz nocnych recitali muzyki rap i metal. Dilerzy statusu, dla niepoznaki zwani specjalistami do spraw sprzedaży mieszkań, tylko czekają, by opchnąć klientom fantomowy prestiż i lokalizację w sercu mikropuszczy – na dodatek świetnie skomunikowanej z centrum i bogatej w figloraje oraz przestrzenie do coworkingu. Oczywiście okolica jest cicha i spokojna, bo powyżej siedmiu tysięcy za metr innych już nie ma. Jeśli z anonsów i ofert mieszkaniowych Warszawy, Gdańska, Wrocławia czy Łodzi ułożyć mapę miejsca, które gwarantuje owe syjamskie zalety, będzie to mapa całego miasta. Zarazem jednak, by wyjść naprzeciw oczekiwaniom kapryśnej, wymagającej klienteli – wymagającej i kapryśnej, bo płaci własną krwią hipoteczną – należy taki adres zaprezentować jako punkt, w którym dopełniają się dwa odmienne żywioły: chill i energia, dystans i bliskość, mizantropia i wspólnota.

„Silence House mieści się przy ulicy Krawieckiej – zaklina jeden z deweloperów. – W najcichszej lokalizacji Starego Miasta: kilka kroków od Rynku, tętniącego życiem serca Wrocławia. W pobliżu setek restauracji, klubów i butików, a mimo to ukryty przed miejskim zgiełkiem, odizolowany od samochodowego ruchu, obok spacerowych ulic Świdnickiej i Oławskiej. To prawdziwie prestiżowa, pięciogwiazdkowa lokalizacja, oferująca najciekawsze miejsca kultury i rozrywki dostępne na wyciągnięcie ręki. To ostatnie tak wyjątkowe miejsce we Wrocławiu".

Nieliczni z nas, wystarczająco majętni i zabezpieczeni w tym życiu, by zdecydować się na zupełnie nowe, mogą wybrać geograficzno-społeczny radykalizm i osiedlić się w beskidzkich ostępach, za Sejnami czy na sztucznej wyspie na Pacyfiku i tam, w ścisłym gronie najbliższej rodziny i cyfrowych odbić reszty ludzkości, zaznawać bez limitu ciszy w wersji premium. Tylko ty, kosmos i myśli, które przestały być partią squasha, a stały się meczem Karpow–Kasparow. No i natura, której w końcu czujesz się istotną częścią.

Reszcie uczestników wojny z hałasem pozostają narzędzia i metody partyzanckie. Od zatyczek i słuchawek, w których huczy alaskańska zadymka, przez krótki regenerujący pobyt w agro-turystce lub klasztorze o skomercjalizowanej regule, aż po inwestycję w dźwiękoszczelne okna i panele ścienne obite materiałem izolującym. Jest też Strefa Ciszy w pendolino – w wagonie numer 7 obowiązują szept, wyłączony telefon i poszanowanie snu bądź pracy intelektualnej współpasażerów. Wprawdzie dla niektórych ludomanów i lewicowców skład z taką enklawą to odrażający klasistowski snowpiercer, ale ci, którzy podróż koleją traktują jako czas odpoczynku i refleksji, zostają wybawieni od zestawów głośnomówiących, seriali z laptopka i small talków.

W przyszłości nie będzie lepiej. Przynajmniej w tej, która pozostaje w naszym zasięgu. Owszem, można zaprząc do roboty jakiegoś pisarza SF i uzyskać od niego optymistyczną wizję świata, w którym napędzane słońcem lub śmieciem pojazdy suną bezszelestnie ponad ulicami, każdego z nas przed niemiłymi dźwiękami broni spersonalizowane pole siłowe, a wolne chwile (zredystrybuowane jutro to wszak same wolne chwile) spędzamy w ogólnodostępnych syntetycznych edenach pośród uprzednio zatwierdzonych hologramów i treli, ale o wiele bardziej realny wydaje się dystopijny, cyberpunkowy *noise*. Więcej ludzi, siedzib ludzkich i dronów, mniej przestrzeni wolnej od ludzi, siedzib ludzkich i dronów. Postkapitalistyczne molochy, które już nie rosną

wzwyż, ale wszerz, niekończące się miasta-przedmieścia, aglomeracje niesłużące rozwojowi, ale schronieniu przed burzą piaskową, hipertornadem, gangami mutantów. I w tym wszystkim ja, skołowany Yoda, mieszkaniec Zgierzołodzi, opowiadający dzieciom urodzonym w ścisku i rejwachu, że kiedyś było ciszej.

Zanim jednak do tego dojdzie, czekają nas jeszcze lata w narastającym hałasie i ciszy zanikającej niczym populacja nosorożca jawajskiego. Lecz może po prostu daremnie żyliśmy nadzieją i złudzeniami, na próżno nie ustawaliśmy w pogoni za azylem, bo ta sprawa od zawsze była przegrana – nie tylko tu, w Polsce, kraju trzydziestu ośmiu milionów Polaków, dwudziestu trzech milionów aut i siedmiu milionów psów, ale wszędzie?

„Z fizycznego punktu widzenia – pisze badacz Zdzisław Strumidło – cisza to brak dźwięku. Jako taka pozostaje nieznana dla człowieka, gdyż występuje jedynie w próżni, a więc w obszarze, w którym życie jest niemożliwe. Cisza w tym rozumieniu na świecie nie istnieje”.

ROZMOWY NA STRONIE

Beata Huet

Przetłumaczyła *Przygody Sherlocka Holmesa* Arthura Conan Doyle'a, *Zabójczą grę* Rexa Stouta, *Indianę Jonesa* Roba MacGregora oraz inne powieści. Publikowała w „Kabotynie", „Suplemencie", „Babińcu literackim", „Bardzo dobrych wierszach". Jej wiersze były wyświetlane na murach ul. Brackiej w Krakowie. Zajmuje się upowszechnianiem wiedzy naukowej w dobrym Krakowskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk i Sztuk.

Maciej Studencki

Tłumacz literatury, autor ponad 30 przekładów książek z języka angielskiego - zarówno literatury faktu (biografie, monografie, eseje), jak i beletrystyki; przewodniczący Oddziału Północnego Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury. Mieszka w Gdyni.

Pomelony i szczęśliwki, czyli perły w rzemiośle?

Rozmowa Beaty Huet z Maciejem Studenckim

Przekład literacki to bardziej rzemiosło czy sztuka?

I to, i to. Na ogół rzemiosło –"jak oddać sens w miarę prostych zdań z oryginału po polsku", oczywiście z zachowaniem rejestru, nastroju, sensu, a ze zmianą na przykład składni, tam, gdzie angielska stosuje konstrukcje obce polszczyźnie.

Ale zwykle w tekście "rzemieślniczym" co jakiś czas trafia się perełka, nad którą trzeba przysiąść: idiom, gra słów, rym, znaczące przeinaczenie. Wtedy się zaczyna zabawa i to już jest sztuka.

Lubię porównywać ten moment do tego, co napisał Barańczak w szkicu *Tablica z Macondo* – jeżeli ograniczenia wynikające z reguł poezji lub zasad umieszczania napisów na tablicach rejestracyjnych stanowią wyzwanie dla twórcy, a w rezultacie powstaje sztuka, to podobnie jest z przekładem: reguły języka źródłowego i efekt w nim osiągnięty są ograniczeniami, które musimy brać pod uwagę, działając w języku docelowym.

Czy mógłbyś podać przykład takiej perełki ze swojego doświadczenia?

To np. piosenka, wykonywana podczas pewnego castingu przez Robina Williamsa (z jego biografii): *When it's cherry-blossom time in Orange, New Jersey, We'll make a peach of a pear I know we cantaloupe, so honeydew be mine...*

(To jest z tego, co mi wiadomo, piosenka Danny'ego Kaye'a "Lobby Number".)

I jak z tego można wybrnąć?

Trzeba poszukać w sadzie i w ogródku
Zakwitną wiśnie w Orange, New Jersey
A z nas będzie niebanana para.
Ucieczka to pomelony pomysł,
Byś była szczęśliwka, o to się postaram.

Co prawda nie można tego zaśpiewać na oryginalną melodię, ale moim zdaniem nienajgorzej oddaje sens i sposób działania oryginału.

W tej biografii było więcej takich językowych dowcipów, ale ten jest szczególny – to piosenka, więc dochodzą jeszcze rymy...

Dobre, gratuluję!

Mawia się, że w przekładzie coś się traci. A czy można coś zyskać? Prostymi słowy: czy masz na koncie taki przekład, o którym możesz z czystym sumieniem powiedzieć, że jest lepszy od oryginału?

Tutaj żadna odpowiedź nie będzie dobra: jak powiem, że nie, wyjdę na nudziarza i osobę, która nie przekracza granic, a jeżeli powiem, że tak, to narażę się na zarzut "przefajnowania", dodania od siebie czegoś, czego w oryginale nie było (co niektórzy krytycy zarzucają Barańczakowi). Odpowiem dyplomatycznie: na pewno są takie fragmenty, może nawet pojedyncze słowa lub nazwy, przy których sobie pofolgowałem i brzmią mi lepiej w polszczyźnie niż w oryginale, ale to po pierwsze może być kwestia lepszej znajomości polszczyzny niż angielskiego (a więc zniekształcenia kryteriów oceny), a po drugie na pewno nie mogę tego powiedzieć o całości przekładu, całym dziele. Cały czas się uczę i staram przekładać coraz lepiej, o!

A czy zdarzyło Ci się zaliczyć jakąś spektakularną wpadkę? Mnie tak, na szczęście miałam dobrą redaktorkę i nie poszło dalej.

Haa, w karierze tłumacza literackiego, mam nadzieję, nie – i też dzięki bardzo dobrym redaktorkom! Owszem, zdarzają się niedociągnięcia, czasem przekłada się trochę "na autopilocie", zwłaszcza pod koniec dnia, zwłaszcza w listopadzie, a tu tekst do tego zachęca, bo prosta powieść dla młodzieży, tłumaczy się sama... a potem przy autoredakcji – albo co gorsza przy redakcji zewnętrznej bęc! I wychodzi pomyłka. Na szczęście nie w druku.

Ale pamiętam taki przykład jeszcze z czasów, kiedy tak sobie znałem angielski, poza tym pracowałem w pośpiechu i bez nadzoru, no i nie jako tłumacz literacki, tylko, hm, "dostarczyciel kontentu". Przekładałem czy też streszczałem relację z koncertu The Rolling Stones i w pewnej chwili w moim tekście pojawiał się Charlie Watts ze swoim cylindrem. Na głowie. Bo czym innym może być "hi-hat"?

I tak poszło…

To jakieś cymbały?

To część zestawu perkusyjnego, dwa talerze, "kłapiące" o siebie za naciśnięciem pedału".

Dla mnie najgorsze są takie historie techniczne, kiedy się nie wie, jak dana rzecz się nazywa po polsku.

Tak, na szczęście mam sporo znajomych, a nawet jak nie, to oni mają znajomych – i zwykle pojedyncze terminy się znajdują.

Tłumaczyłeś niedawno eseje o ludzkim ciele, trudno było?

Chodzi Ci o eseje Gavina Francisa – przełożyłem oba zbiory, które dotąd wyszły w oryginale – *Podróże po ludzkim ciele* i *Przemiany ludzkiego ciała*. To była fascynująca praca, Gavin ma erudycyjny styl, skacze między kontekstami, zwykle bardzo sensownie, a śledzenie tego (i przekładanie) jest świetną zabawą.

A pamiętasz, który przekład sprawił Ci najwięcej trudu, potu i łez?

W sensie trudności tekstu źródłowego – *Pretorianie* Guya de la Bedoyere. Podróż przez historię starożytnego Rzymu, gdzie wszystko trzeba było sprawdzać, niemal co akapit, a konsultant, znakomity fachowiec, i tak znalazł sporo rzeczy do poprawki.

A w sensie pracochłonności – biografia *Donald Trump. W pogoni za sukcesem* (później wydana jako *Donald Trump. Człowiek sukcesu*). Pomyliłem się z oceną objętości tekstu źródłowego, w dodatku wydawnictwu zależało na czasie, więc wynegocjowało dość krótki termin, no i skończyło się na naprawdę długich godzinach pracy. Ale wyrobiłem się z terminem – na styk.

A masz jakąś swoją ulubioną działkę? (Nie w sensie pomelonów i szczęśliwek).

Ulubiona działka to trochę zdradliwe pojęcie. Zawsze bardzo chciałem przekładać fantastykę, no i to marzenie po części się spełniło – mam na koncie przekład trylogii *Misji 100* Kass Morgan, a ostatnio fantastykę, hmm, miejską? Dwie powieści V.E. Schwab, *Vicious: Nikczemni* i *Vengeful: Mściwi*.

A dlaczego zdradliwe? Bo za dużo tekstów jednego gatunku, autora czy też grupy docelowej wpływa na umysł tłumacza. Wpada się w pewne koleiny, składniowe, stylistyczne, widać w pewnym momencie podobne ogrywanie pewnych motywów. Dlatego najlepszy jest płodozmian: dwie, najwyżej trzy proste powieści, a potem na przykład nonfik, bar-

dziej ambitny, skomplikowany, a na pewno oderwany od fikcji na tyle, żeby uruchomić inne obszary pamięci i języka. Potem można wrócić do beletrystyki. Idealna sytuacja jest wtedy, kiedy to się udaje.

Ale to chyba Ci nie grozi (wpadka w koleinę). Oprócz tego, że tłumaczysz różne gatunki, jesteś także dziennikarzem, redaktorem, copywriterem, krytykiem sztuki. Działasz w zarządzie STL-u. W dodatku jesteś bardzo aktywny na Forum Tłumaczy – rozwiązujesz w mig prawie wszystkie tłumaczeniowe problemy kolegów? Jak sobie radzisz z takim nawałem pracy? Czy to kwestia predyspozycji czy jakichś szczególnych technik organizacji pracy?

Dziennikarz i redaktor to już historia, chyba żeby wziąć pod uwagę redagowanie własnych przekładów. Copywriting też zdarza się coraz rzadziej, z wyboru: po kilkunastu latach pisania tekstów reklamowych po prostu się wypaliłem. Robię jeszcze czasem drobnostki dla starych znajomych, ale nie jest to znacząca część mojej pracy. Krytykiem sztuki bywam, kiedy ktoś z zaprzyjaźnionych artystów poprosi.

Czyli jesteś „pełnoetatowym" tłumaczem? Oczywiście wiemy, że to nie etat sensu *stricto.*

Tak, jasne, wolne strzelectwo.

Tłumaczysz tylko rzeczy, które dostajesz od wydawnictw, czy zdarza Ci się samemu wybierać książki? (Mnie się to drugie, niestety, nigdy nie udało).

O widzisz, też tak mam. Na ogół biorę, co dają (czasem mam wybór z 2,3 możliwości). Niestety, na razie nie udało mi się zainteresować nikogo czymś, co mnie się podobało.

Ile książek tłumaczysz średnio na rok (wiadomo, że w zależności od książek, ale tak mniej więcej)?

Myślę, że przy ciągłości zleceń 4-6 da radę. Oczywiście jest różnica między powieścią dla młodszej młodzieży o objętości, powiedzmy, 200 stron, a 700-stronicową biografią.

Co w zawodzie tłumacza cenisz sobie najbardziej? A co jest największą bolączką? Co fajnie byłoby zmienić?

Plusy: z jednej strony elastyczność – jestem w stanie czasem poświęcić dzień czy dwa na zupełnie inne zajęcia, jeżeli zdarza się coś pilniejszego w życiu do zrobienia, z drugiej

– względna stabilność, w sensie pewności pracy, jeżeli z wydawnictwem się dogadujemy, wiem, że będą kolejne umowy i kolejne przekłady.

Minusy: słabość tłumacza wobec wielkich wydawniczych firm, które czasem (nie zawsze, nie wszystkie) potrafią wykorzystywać swoją pozycję. To właśnie próbujemy zmienić jako STL, na ile to możliwe.

Mówi się o "niewidzialności" tłumaczy? Czy czujesz się niewidzialny? Czy uważasz, że jesteś (nie)doceniony?

Bardzo często tak, czuję się niewidzialny. Ale niedoceniony – na pewno nie. Po pierwsze wiem, co i dlaczego robię dobrze, więc sam potrafię się docenić. Ostatnio akurat kilku recenzentów pochwaliło mój przekład, przy okazji nie zapominając o nazwisku. Może to sygnał, że coś się zmienia?

Wiem, że nad tym właśnie pracuje Stowarzyszenie Tłumaczy Literatury i ma spore osiągnięcia. Czy są w planie Stowarzyszenia jakieś nowe, konkretne zadania?

Jak widać, raczej tak: właśnie zakończyła się ankieta dotycząca wynagrodzeń tłumaczy. Jej wyniki posłużą jako materiał do badań, dzięki którym tłumacze jako grupa zawodowa będą w stanie lepiej ocenić swoją pozycję i – miejmy nadzieję – zyskać argumenty w negocjacjach z wydawcami.

Poza tym organizujemy szkolenia dla tłumaczy – językowe, słowotwórcze, ostatnio również z negocjacji. Póki co na niewielką skalę i w większych ośrodkach, ale też i grupa docelowa tych szkoleń jest niewielka.

Trzymam kciuki. A teraz z innej beczki: Czy, Twoim zdaniem, wobec rozwoju współczesnych technologii (coraz lepsze tłumacze elektroniczne itd.) zawód tłumacza ma przyszłość?

To pytanie często się pojawia, ostatnio we wrześniu zeszłego roku, podczas obchodów Międzynarodowego Dnia Tłumacza w Warszawie próbował odpowiedzieć na nie podczas warsztatów kognitywista dr Marcin Miłkowski. W kontekście coraz sprawniejszych sztucznych inteligencji, samouczących się sieci – będzie trudno. Pociesza mnie tylko jedna rzecz: w momencie, kiedy programy komputerowe będą na tyle zaawansowane, żeby skutecznie zastąpić tłumacza literackiego, przekłady będą naszym najmniejszym zmartwieniem.

No tak, po takim *dictum* wypada powoli zmierzać do brzegu… Gdybyś musiał zmienić zawód, co byś wybrał?

Pojęcia nie mam. Podejrzewam, że jakiś zawód, w którym liczyłaby się umiejętność nawiązywania i podtrzymywania kontaktów z ludźmi, ale nie w handlu i nie w edukacji (to akurat wiem już od czasu studiów polonistycznych i praktyk w szkołach).

W takim razie, co byś mógł poradzić młodym tłumaczom (albo marzącym o tym zawodzie)?

Marzącym, którym brakuje wiedzy, jak zacząć, poradziłbym zapoznanie się z e-bookiem "Miłe złego początki", udostępnionym na stronie STL. A początkującym, żeby nabrali poczucia, że liczy się przede wszystkim tekst i to o jego jakość powinni dbać, również w kontakcie z redakcją zewnętrzną – ale żeby również pamiętali, że drugą stronę (redaktorkę, wydawczynię) również powinna obowiązywać ta zasada. Czyli nie przywiązywać się zbytnio do własnych pomysłów, jeżeli ktoś rozsądnie potrafi dowieść, że nie są najlepsze – i bronić ich jak lwica małych, kiedy ktoś chce je zmienić ot tak sobie, bez solidnych podstaw.

Dziękuję, wezmę to do serca. No to jeszcze: Twój najlepszy przekład *ever*?

Och, cios w splot na koniec. Pewnie ten najlepszy jeszcze przede mną, ale bardzo sobie cenię oba wspomniane wyżej zbiory esejów Gavina Francisa, obawiam się, że kompletnie niedocenione przez większość czytelników. No trudno.

Tego nigdy się nie wie na pewno. A nad czym teraz pracujesz?

Właśnie skończyłem przekład ostatniego tomu trylogii fantasy dla YA, starszej młodzieży. Sporo ostatnio tłumaczę takich rzeczy.

A w marcu zabieram się za następny tom innego cyklu fantasy, dla trochę młodszych czytelników.

W takim razie pozostaje życzyć "młodym dorosłym" wspaniałych czytelniczych przygód!

Przyłączam się.

Ostatnie pytanie z cyklu tych lżejszych: jak tłumacz literacki (w Twojej osobie) spędza czas wolny od przekładu?

Ostatnio jak ostatni kanapowy ziemniak – po całym dniu pracy z tekstem nie bardzo ciągnie mnie do czytania (nad czym ubolewam), ale Netflix, HBO i lekkie odmóżdżenie wieczorem – tak. Ale wiesz co, napisz dla kontrastu, że od pewnego czasu ciągnie mnie również do obserwacji i fotografowania ptaków i zwierząt w plenerze, a ponieważ kompletuję właśnie wyposażenie, to ma to szansę stać się całkiem poważnym hobby. Z tym że to oczywiście nie wieczorem po dniu pracy.

W takim razie życzę dużo odpoczynku wśród zwierząt i ptactwa. No i kolejnych sukcesów!

STRONA

WOLNA

Klaudia Ciepłucha

Rocznik dziewięć pięć. Po ukończeniu krakowskiej komparatystyki, napisaniu magisterki z polskiego hip-hopu, postanowiła wziąć się w tak zwaną garść i na nowo zacząć pisać wiersze. Bardzo odległa planeta satelicka „Stonera Polskiego" (buziaki dziewczyny i chłopaki). Publikowała właśnie tam oraz w „8. Arkuszu Odry". Pilnie uczy się czeskiego.

social distancing

ty a pamiętasz jak płonęła notre dame
nic nie było ważniejsze niż paryż

a przed tym wszystkim
kino teatr muzeum

piweczko cziperki
hotel paradiso

ty a pamiętasz jak płonęła australia
nic nie było ważniejsze niż melbourne

a przed tym wszystkim
siłka joga kurs językowy

beaujolais nouveau nocą
potem jakiś klubik biforek afterek

ty a pamiętasz
jak to było daleko

a my nigdy nie byliśmy bliżej

Jacques de Côté

Oksytański badacz polskiej kultury masowej; socjolog, patolog, dendrolog, mykolog; aktywista związany z Ruchem 1 Kwietnia. Autor książek naukowych *L'effet des souris des champs sur la glaciation tertiaire au rez-de-chaussée*, podróżniczej powieści-reportażu *Aux frontières des frontières qui n'existent pas (mais hier elles semblaient l'être)* oraz biografii Alfreda Korzybskiego *Linguiste, espion, subversif*. Mieszka w Saint-Félix-Lauragais, w regionie Oksytania, w departamencie Górna Garonna.

THROBBING GRISTLE W KOŁOBRZEGU ‘79

Tekst dedykuję pamięci
Genesis Breyer P-Orridge i Petera Christophersona

Skoro Sun Ra Arkestra wystąpiła w Kaliszu (1986), Crime & the City Solution w Słupsku (1988), a Kraftwerk w Zielonej Górze (1981), to dlaczegóżby Throbbing Gristle nie mogli wystąpić w Kołobrzegu (1979)?

Nową kartę w historii polskiej kultury odkrywa pochodzący z Oksytanii badacz polskiej popkultury, Jacques de Côté. Kartę, o której nie napisał w swojej najnowszej – bardzo dobrej zresztą – książce Bartosz Żurawiecki (dostępnej TUTAJ).

I.

Geniusz O. Wsianka (31 l.) stał oparty o starą przedwojenną latarnię i wpatrywał się w mur nieopodal, co chwila podnosząc nerwowo dwa palce – jakby salutując – ku daszkowi swojej wojskowej czapeczki. Nieopodal spacerował, zataczając koła na brukowanej ulicy, jeden z muzyków zespołu Throbbing Gristle, Piotr Krzysztoforski (28 l.): „Myślisz o tym co za murem, Gienia?”, „Mhm…” – odmruknął niechętnie, zatopiony w swoich czarnych industrialnych myślach. O-Wsianka – „Ciekawe czy tam jest tak jak w komiksach *Metal Hurlant* albo w *Stalkerze* Tarkowskiego? Czołgi na drogach, ruiny, rozkładające się trupy zwierząt, głodujący wieśniacy, wielkie stalowe dźwigi w portach, hutach i kopalniach, dysydenci drukujący swoje antysystemowe odezwy w piwnicach, alkoholizm, prostytucja, marazm, depresja…?”

„Nawet gorzej” – uciął lakonicznie Piotr, pogwizdując melodię ówczesnego przeboju disco, *I Feel Love*" Donny Summer.

„Piotrze…!” – z pogardą spojrzał się na niego Geniusz – „Mógłbyś sobie darować…! Powaga chwili…!”

„Prawdziwy trickster i gnostyk zawsze robi wszystko na odwrót” – odpowiedział Piotr posyłając Gieni jeden ze swoich najsłodszych uśmiechów. Gienia spojrzał zimno swoimi stalowymi oczami na Piotra: „W porządku. Rozumiem. Komunikat przyjęty. Baczność!”

Gienia wypiął pierś – „Odmaszerować!" – krzyknął krótko i zdecydowanie, i niczym z Ministerstwa Głupich Kroków sam odmaszerował w dół starej berlińskiej brukowanej ulicy deklamując głośno: „Disciplined! Disciplined! Disciplined…".

Niedaleko kręcili się pozostali muzycy TG, Koza Tutti Frutti (30 l.) i jej narzeczony, Krzyś Karcer (32 l.). Odprowadzili zdumieni wzrokiem maszerującego dziarsko w stronę krojcberskich skłotów Gienię, pytająco spoglądając na Piotra: „Nie patrzcie tak na mnie, proszę… Także nie rozumiem…" – wzruszył ramionami Piotr, po czym dorzucił, uśmiechając się ironicznie: – „Myślę, że poszedł spróbować barszczu mielonych parówek zanim ruszymy do Polski".

Być może tak, a być może inaczej, wyglądała wycieczka brytyjskiego kolektywu industrialnego Throbbing Gristle do komunistycznej Polski via Berlin Zachodni i NRD w roku 1979.

„Well… Słyszałem od Bowiego te opowieści jak wysiadł w 1976 roku w Warszawie z pociągu i chodził po śródmieściu stolicy tego małego, zapomnianego państwa. Przyznawał, że nie widział brzydszego i paskudniejszego miejsca nigdy wcześniej w życiu. Zaczepili go wówczas jacyś lokalni dysydenci, przedstawiający się jako Jack i Adam pytając czy nie ma na sprzedaż Cameli bez filtra [chodzi o Kuronia i Michnika – przyp. aut.], chociaż możliwe, że byli to tajni agenci udający dysydentów… Kto ich tam wie?! David puszczał mi nawet jakieś płyty z polską muzyką ludową, ale wtedy byłem fanem maszynowego i fabrycznego hałasu, bardziej interesowały mnie młoty pneumatyczne, piece martenowskie czy portowe pochylnie, a nie jakieś tam chóry z głosami jak co najmniej trzydzieści głosów Joan Cross" – mówi dzisiaj pandrogyniczny Geniusz, który przedstawia się jako Genowefa Breja – O. Wsianka – „W każdym razie byłem zaintrygowany militaryzacją życia społecznego za Żelazną Kurtyną i brakiem odzewu z tamtej strony. Dzisiaj już jestem świadomy tego, że oni wiedzieli o nas wszystko: szpiegowali nasze gazety, przemycali nasze płyty, nasłuchiwali BBC Radio One na falach średnich, szczegółowo analizowali filmy brytyjskiego realizmu, a prości robotnicy znali na pamięć Szekspira, Miltona i Shelleya! Byli gotowi na wszystko! Na wojnę z nami! Nothing short of a total war! A to my, głupi Brytole, nie widzieliśmy nic o nich! Było to ze wszech miar intrygujące. Propaganda. Militaryzm. Centralizm. Robotnik i Kołchoźnica. Pancernik Potiemkin. Eisenstein. Powszechne donosicielstwo. Totalna stabilizacja. Kombinacja. Kontrola. Kryzys." – przypomina sobie dziś

Geniusz/Genowefa. – „Przyznam się, że jak byłem mały to wyobrażałem sobie, że gdzieś tam na Wschodzie, rzeczywiście z nieba zwisa olbrzymia kurtyna zrobiona z żelaza, wytopiona w jednej z tych stalinowskich hut, które widywałem na kronikach filmowych BFI w moim kinie w Manchesterze na wzorowym, modernistycznym brytyjskim blokowisku dla brytyjskich robotników. Oczywiście, będąc w 1979 roku w Berlinie Zachodnim zweryfikowałem te dziecięce wizualizacje." – kończy cierpko opowieść o dumnej robotniczej Brytanii Gienek/Gienia.

II.

Throbbing Gristle przyjechało w 1979 roku do Berlina Zachodniego by zagrać kilka setów dźwiękowych i tam zetknęli się zaskoczeni z kwitnącą, niezależnie od trendów w Londynie, kulturą post-punkowo-industrialną. „Gienia był zaskoczony, ale i wściekły jednocześnie" – przyznał w jednym z wywiadów zmarły w 2012 Krzysztoforski – „Jeśli nie mógł czegoś kontrolować – był wściekły. Jeśli nie miał na coś wpływu – był wściekły. Ale potem mu mijało i zakochiwał się szybko i namiętnie. Dzięki temu mógł inkorporować do swojego światopoglądu i 'bytu-sztuki' odmienne racje i wizje, które dialektycznie wybuchały nową estetyką. Tak w końcu narodził się industrial."

„W logo mieli w końcu zdjęcie polskiego obozu śmierci w Auschwitz, więc logiczne, że w końcu musieli tam pojechać" – opowiada ówczesny muzyk SPK, Graeme Revell, dziś kompozytor muzyki do hollywoodzkich filmów – „Jak to? To nie były polskie obozy śmierci? No jak to, przecież są w Polsce? Ha ha ha!" – śmieje się zrelaksowany Revell, siedząc w swojej willi w L.A. popijając dobrą whisky – „A zresztą, ja tam jestem Nowozelandczykiem i tak naprawdę guzik mnie to obchodzi… Gienia już wcześniej przebąkiwał coś o polskiej wódce, że chciałby spróbować, że coś tam, ale myślę, że po cichu liczył, że spotka jakąś atrakcyjną Polkę, bo Koza już wtedy zaczynała 'kręcić' z Krzyśkiem. W każdym razie po wizycie Gieni, myśmy później z SPK zagrali przecież we Wałbrzychu w kopalni, dla kilkuset nieświadomych górników. Ziomuś! To był sztos! Stan wojenny, godzina policyjna, kolejki po srajtaśme, a tam my, z tymi swoimi świdrami, piłami i samplerami, czujesz to?! Górnicy stali jak sparaliżowani! Za to młodzież tańczyła i wyła z radości. Być może to dzięki nam upadł później komunizm…" – uśmiecha się szelmowsko Revell.

III.

Do dzisiaj nie ma zgodności co do tego, kto zaprosił tę rewolucyjną ekipę na jeden z najbardziej znienawidzonych i opluwanych festiwali w byłym PRL.

„Nienawidziłem komuchów – szczególnie brytyjskich komuchów – ale wycieczka do jądra ciemności światowego totalitaryzmu dawała mi większego kopa niż mieszanka desoxynu z metakwalonem. No chyba, że wystąpilibyśmy na Placu Czerwonym w Moskwie… W tym zimnym, brudnym świecie odnaleźliśmy się bardzo szybko. W tym zimnie był pierwiastek zamrożonej seksualności, który należało obudzić…" – filozuje Gienia.

„Nieprawda, nie odnaleźliśmy się tam wcale, O. Wsianka nawet nie chciał nas słuchać. Było zimno, owszem, ale na Oxford Street zaopatrzyliśmy się w grube kurtki, rękawice, waciaki i futrzane czapy. Po czym okazało się, że festiwal w tym… eee… Kolobrajdżu odbywa się w… sierpniu. Och, mój angielski borze, jak można było się tak pomylić…" – śmieje się Koza Tutti Frutti.

„Tak naprawdę to chodziło o tę jakąś tajemniczą Ewkę, która zakochała się w Gienku. To była taka młoda polska artystka, która uciekła w 1972 przez Szwecję i Danię do Londynu. Kręciła się trochę przy Piotrku, ale jak pokumała, że on woli chłopców, uwiesiła się na Gienku. Koza nie dawała nic po sobie poznać – jak to prawdziwa sztywna i drętwa Brytolka – ale w środku gotowała się ze wściekłości" – wspominał w roku 1999 w radiowym wywiadzie Jan Balans (później w Coil), który wówczas jako 17-letni szczeniak towarzyszył ekipie w wycieczce do Polskiej Republiki Ludowej – „Swoją drogą, te wąsate chłopaki w mundurach były naprawdę sexy… Chciałem jakiegoś namówić na loda, ale byłem wtedy młody i nieśmiały… A ta cała Ewka? Cycata słowiańska blondyna z warkoczami, ot co. Hipiska właściwie. Gienek takie wtedy lubił."

Throbbing Gristle wraz z towarzyszącą im świtą industrial-frików (Jan Balans, Dawid Tybetański, Aleksander Ferguson, Douglas P, John Gosling, Jill Westwood, Rose McDowall…) jechali nocnym pociągiem relacji Przemyśl – Kołobrzeg po wizycie w Krakowie i Oświęcimiu.

„Tak, poznałem ich w 1979 bodajże, jak tutaj byli… Normalnie no, kuźwa wasza mać! Stali pod Adasiem na Rynku i wyglądali jak skrzyżowanie milicji obywatelskiej

z Mechaniczną Pomarańczą!" – przypomina sobie Pudel z grupy Pudelsi, popijając polską żytnią i zagryzając ogórkiem – „Byli jak jacyś kosmici z innej galaktyki na planecie «Komunizm», stary, łapiesz to, nie? Dogadywaliśmy się ciężko, bo ich angielski nie był taki jaki znałem z filmów o Bondzie… Pobiegłem po Piotra Marka, awangardowego malarza i późniejszego muzyka Düpą. Oczywiście w try-mi-ga złapali wspólny język i nawet zaczęli coś tam jamować u niego na strychu, pokazywali mu te samplery, kibordy i inne srajty-bajery, ale nie było mnie przy tym. Że co? Czemu? Przywieźli zajebiście mocną trawę, prosto z Brixton, kuźwa ich mać, ot co…" – kończy smutno Pudel.

„Taaaa…" – uśmiecha się szeroko Józef Skrzek z zespołu SBB – „Byłem na tej sesji u Piotra… Ależ mieli bajeranckie pudła z pokrętłami! Podobno częściowo własnej roboty. Oczywiście dla nas byli kosmitami z innej czasoprzestrzeni. Dali mi trochę tymi pokrętłami i guzikami się pobawić… Nagrałem to na szpulaka marki Unitra i wykorzystałem 3 lata później przy tworzeniu soundtracku do filmu Piotra Szulkina *Wojna światów – następne stulecie*… Mocna trawa? Tam nie było żadnych narkotyków człowieku! Oni pili nasz vibovit i jedli sałatki z jabłkiem i porem…"

„Skrzek dzisiaj jest katolem, więc udaje świętego, a prawda jest taka, że walili wódę z Balansem i Goslingiem, a potem latali na golasa pod Wawelem i obszczywali taksówki" – denerwuje się John Porter, który wraz z Jackowskim i Korą również był na tej, legendarnej już, "The Strych Orgy", jak to nazwał Gienia – „Dziwne, że ich pały nie zgarnęły… Dopiero niedawno, z archiwów IPN-u wyczytałem, że cała ekipa była – oczywiście – pod obserwacją tajniaków z SB i naukowców z PAN, a milicja miała zakaz zbliżania się do nich. Ja i Piotr Marek służyliśmy za tłumaczy, przy okazji wypytałem ich co tam nowego na Wyspach… Z Krzyśkiem Karcerem utrzymujemy kontakt do dziś, chociaż to, że jest fanem londyńskiego Enfield Town F.C. a ja, jako Walijczyk kibicuję Swansea City A.F.C. to inna sprawa." – szelmowsko mruga Porter.

„Pamiętam jak najebany Franz Dreadhunter i Bifhart z Wahehe opowiadali Balansowi i Krzysztoforskiemu o tym magicznym kamieniu na Wawelu, a także wkręcali opowieści o Smoku Wawelskim, a że ich angielski po pijaku był jaki był, to tamci słuchali tego w ten sposób, tak jak my dzisiaj słyszymy opowieści o płaskiej Ziemi, rządach reptylian i tego typu pierdołach…" – kręci głową Milo Kurtis - "Pamiętajcie, że to było 40 lat temu..."

Throbbingi wysiadły w Kołobrzegu sierpniowego poranka, gdzie podjęli ich Magura Góralski, Afa Brylewski i Kamil Stoor z zespołu Kryzys (wtedy jeszcze The Boors czyli Wsiury), który rok później wystąpił w Kołobrzegu na I. Ogólnopolskim Przeglądzie Nowej Fali. „Byli fajnymi, wyluzowanymi gośćmi i gościówami" – mówi Magura – „Oczywiście, na ulicy wszyscy przystawali z rozdziawionymi ustami widząc ten megadziwaczny kontyngent, rozmawiający w jakimś bulgoczącym języku. Ich stylówa, otoczka, nie mówiąc już o muzyce, to była inna planeta, inny kosmos… Narzekali na bezrobocie u siebie, na inflację, na kryzys… I właśnie! Kryzys! Myśmy jeszcze wtedy nazywali się The Boors (pol. wsiury, buraki, chamy), ale zaraz po ich wyjeździe przemianowaliśmy się na Kryzys. To właśnie O. Wsianka często używał tego słowa. Niedawno dowiedziałem się, że młody Douglas P. z Death in June, który wtedy również tam był, podsłuchał naszą rozmowę i sam założył w Anglii zespół Crisis… Gienek dużo gadał wtedy z Afą [Robertem Brylewskim – przyp. aut.], ale nie mam pojęcia o czym. No i wszędzie wsadzała nos ta Ewka z Londynu… No dobra, to ona załatwiła im koncert i mówię ci, stary, to był dopiero strzał… Komunistyczne pieśni wojaków, a tu na scenę wchodzą brytyjscy skinheadzi w bojówkach, z czego połowa to geje… Pełny odlot…"

Throbbing Gristle zagrali około godziny 13, w pełnym sierpniowym słońcu, więc mało kto z widzów miał okazję ich zobaczyć, gdyż właściwe recitale Festiwalu Piosenki Żołnierskiej zaczynały się dopiero około godziny 19–20. Z zeznań świadków zagrali *Hamburger Lady*, *Auschwitz*, *Hot on the Heels of Love*, *Adrenalin* i jakieś dłuższe noise'owe impro na sekwencerach, po czym zakończyli swój 'recital' choreograficznie wykonanym *Discipline*, w którym Balans, Gosling i Douglas P. maszerowali w-te-i-we-w-te po scenie krokiem defiladowym, Gienek wił się po scenie opleciony kablami, a dziewczyny machały flagami z logo Industrial Records.

„Tam było z jakieś 30 do 40 osób, z czego połowa to była nasza, poinformowana wcześniej o tym występie ekipa z Warszawy i Gdańska, tacy jak Dzedzej, Gruszka, Magik, Konkol, Lipiński, Świtalski, a druga połowa to byli jacyś wąsacze i tajniaki poprzebierane jak hipisi na Woodstock. Pewnie, cholera, myśleli że jak „kapely z zagramanicy" to The Beatles przyjadą, ha ha ha!" – śmieje się Paweł 'Kelner' Rozwadowski – „Byliśmy młodzi i dla nas Throbbing Gristle byli po prostu starszymi kolegami, profesjonalistami, mimo „podziemnej" otoczki. Luter, Brunet i Róża z Gdańska [później muzycy grupy Deadlock –

przyp. aut.] przy *Discipline* wykrzykiwali 'PZPR! PZPR!', hahaha! Ubekom pewnie zgrzytały szczeny, ale nawet nie kiwnęli na nas palcem…"

IV.

„Dziwne i niepokojące dźwięki. Czwórka genialnych muzyków z planety Londyn. Ich pochmurna sztywna angielska świta ubrana na czarno i w glanach. Dużo trawy, dużo wódki. Dobra zabawa, nowe kontakty. W sumie, dzięki tej Ewce w 1981 udało mi się wybyć do Szwecji. Tyle pamiętam z tej zabawy" – uciął moją rozmowę na skype Kamil Stoor.

Pomimo usilnych poszukiwań, nie znalazły się żadne taśmy ani zdjęcia – czy to w archiwach IPN-u, czy to w MI6 w Londynie

Szkoda, że Rafał Księżyk nie spytał Roberta o spotkanie z Throbbing Gristle w książce *Kryzys w Babilonie*, ale gdy słucham ostatnio czarnej płyty Brygady Kryzys, dopiero do mnie dociera skąd na tej płycie taki noise, metaliczne pogłosy, dziwne sample jakby z fabryki…

tłum. Jacek Żebrowski

[wszystkie wydarzenia i postacie są fikcyjne]

Rysunek 1. (l-p): Throbbing Gristle w Berlinie Zachodnim (RFN), 1979, przekraczają granicę.

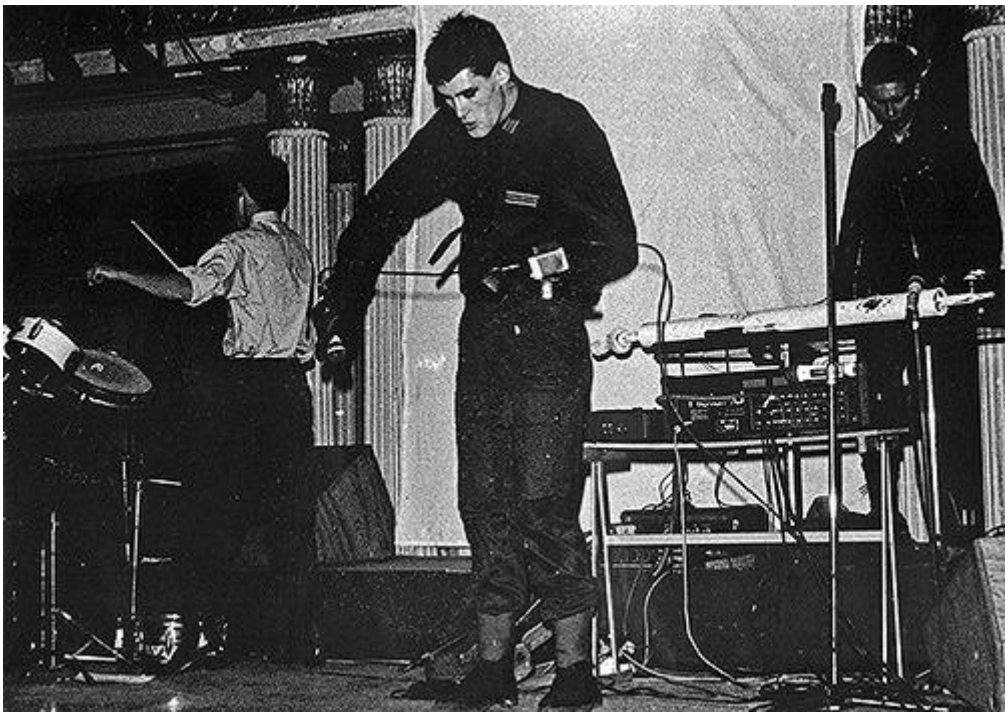

Rysunek 2. S.P.K. – koncert w Górniczym Domu Kultury, Wałbrzych, 1982.

CriticForRent

K.L.

Wykształcenie: krytyk.

Miejsce: Sopot.

Hobby: słowa i obrazki.

Prawdziwe hobby: koty i wino.

PUSTKAPU
STKAPUST
KAPUSTKA
PUSTKAPU
STKAPUST
KAPUSTKA
PUSTKAPU
STKAPUST
KAPUSTKA
PUSTKAPU
STKAPUST
KAPUSTKA
PUSTKAPU
STKAPUST
KAPUSTKA
PUSTKAPU

FORMAFO
RMAFORMAFORMAFORMAFORMA
FORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFO
RMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMA
FORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFOR
MAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMA
FORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAF
ORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMA
FORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFO
RMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAF
ORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFO
RMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMA
FORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORM
AFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORM
AFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMA
FORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFO
RMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORM
AFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFO
RMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMA
AFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAF
ORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFO
RMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFOR
MAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFO
RMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMA
FORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAF
ORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMA
FORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFO
RMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFO
RMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORM
AFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFO
RMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAF
ORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFORMA
FORMAFORMAFORMAFORMAFORMAFOR
MAFORMAFORMAFORMAFORMAFOR
MAFORMAFORMA

problem ulotności:

SŁOWA

smutek tropików:

SIERPIEŃ

bajka o kapitalizmie:

WYBÓR

ars vitae:

WDECH

Mateusz Górniak

Rocznik 1996. Internowany za przedrzeźnianie starych bab, defensywny pomocnik Reprezentacji Mocy, daje głos w prozie i dramaturgii. Publikował między innymi w „Wakacie”, „Wizjach”, „Małym Formacie”, na stronie Wydawnictwa J. Redagował „Stonera Polskiego”, współpracuje z 01 gallery.

Coming out

Niedawno umarła Anna Karina [*] i się nie wzruszyłem, nawet nie powzdychałem. Gdyby umarła wcześniej, byłoby inaczej. CTRL + H podpowiada: płaszcz camel gdzie znaleźć??? Taki był mój eks-erotyzm i są na to dowody. Gdyby tylko ktoś znalazł laptopa, na którym rezydowałem w liceum, a którego musiałem w pewnym momencie życia utopić w Zbiorniku Wodnym Dziećkowice. Pochwała przemijalności. Nie pamiętam, a nie chce mi się sprawdzać, ile Anna Karina miała lat. Zbyt jestem zajęty "spektakularnym żegnaniem własnej młodości". Bo wydarzyło się nie tylko to, że muszę wypełniać druczki i pytać mamę o kwestie mojego ubezpieczenia zdrowotnego. Pierwsze frustracje ekonomiczne wobec Poczty Polskiej i Urzędu Skarbowego spadają na miękką głowę chłopaka, który właśnie postanowił zmienić orientację seksualną z odmrażania sobie uszu na produkowanie, a potem przeżywanie in real time teorii spiskowych. Jeśli wiecie co mam na myśli z in real time. I z tymi uszami, proszę, nie każcie mi wyjaśniać moich powiązań. Najpierw wziąłem sobie tę nową orientację seksualną zmaterializowałem jako potężną śrubę i ją zeżarłem, a potem w in real time przeżyłem true romance. Posłuchajcie, love story w 10 aktach: 1) przychodzi do mnie neo-Kermit, czyli ten żabol z dziwną szczeną z reklamy VIVUS.PL; 2) chce mi się z nim ruchać w pozycjach, o których fantazjowałem jeszcze w liceum; 3) on woli pogadać, a ja jeszcze nie wiem, że może to być tak fajne; 4) zostajemy kolegami, znajdujemy na śmietniku fotele. Siedzimy w nich tygodniami i jemy wyłącznie cookie crips z ciepłym, waniliowym mleczkiem; 5) chcielibyśmy się z tych foteli, jeśli jest tutaj miejsce na dygresję, zapytać o powiązania poety i redaktora Patryka Kosendy[7] z zamachami na WTC 11 września 2001, czyli hahaha, sory za kolejną dygresję, w urodziny mojego ojca. Pamiętam, oglądał telewizor i jadł tort, a ja miałem pięć lat w edypalnym układzie słonecznym; 6) czy da się opowiedzieć biografię samymi teoriami spiskowymi? Trzy teorie spiskowe generują jedną konstruującą cię emocję; 7) moją też; 8) pamiętajcie, wciąż siedzę z neo-Kermitem na fotelu i podtrzymujemy teorię, że nasze spotkanie to

---

[7] – Kosenda jest tak duży,
– Kosenda jest tak nostalgiczny,
– Kosenda jest tak w 2001,
– Kosenda zawiera cały 2001,
– Kosenda to też (i, i...) WTC.

true romance; 9) teraz pragnę opowiadać o swoim szczęściu; 10) i nie boję się mówić o swojej odwadze. PS. DYMAĆ KOLEGÓW PRĄDEM SPEKULACJI I SPISKU TO KOCHAĆ NAPRAWDĘ.

Nikodem Lazurek

Urodzony w 1999 r. Niepomielone mięso odpowiedzialne za prezentowanie kolażu cyfrowego w internecie. Wyhodowany w Grudziądzu, zasiada w Poznaniu. Oczekuje poklasku i klepania po plecach. Głównie konsumuje. Publikował w „Stonerze Polskim” oraz „Rzyradorze”.

Skok

Na lipę

Miodowo-lipowa
Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły
Biorą miód, który potym szlachci pańskie stoły.
sadbvdda

Ręka

Biznes

Zwierzęta

Patrycja Oryl

Urodzona w 1993 roku w Pasłęku, zapuściła korzenie w Gdańsku, gdzie prawie ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim. Przed chwilą jej twórczość (bez niej samej) zadebiutowała w audycji Krzysztofa Kuczkowskiego i Tadeusza Dąbrowskiego *Po pierwsze wiersze* w Radiu Gdańsk.

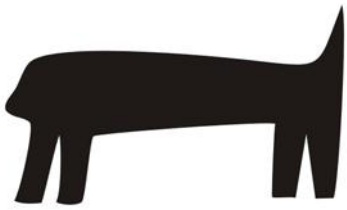

BRUD-PRAWDA NA DOLNYM

Akademia Muzyczna.
Wychodzę z twarzą miasta,
idę w brud zaprojektowany
na podobieństwo hipsterskiego boga.

A ja w oczach czuć proch chcę
zawalającej się restauracji,
dowiedzieć, dlaczego ktoś
obciął kamienicę.

Poznajmy się.
Zajrzyjmy sobie w okna.
Sznur w nich - na kwiaty, czy ludzi?
To tak zbaczając z czystości.

Dość mam nieskazitelnych twarzy,
które przyszły zjeść falafel.

Pokaż mi.
Pokaż czarną łzę,
bliznę i niebieski tatuaż.
Jesteś tu, zakorzeniony,
ty, który wyrwałeś chwasta.

I nadchodzą oni, w zerówkach.
"Ładni ludzie ubierają się na czarno".
I proszą o chemex.
Sami warzą sobie piwo.
I nosem wciągają tofurnik.

Doznajmy się.

Aleksy Poklękowski

Urodzony w 1998 roku w Gdańsku. Student filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim. Publikował dla internetowego portalu „Szum Świateł”. Debiutował jako prozaik w „Stronie Czynnej”. Mieszka w Pelplinie.

Zaduch

– Przepraszam, chciałbym zmienić swoją wcześniejszą wypowiedź – powiedział nagle Redaktor, ale było już za późno, słowo stało się ciałem i zamieszkało między nami, słuchaczami.

Słowa ustanawiają rzeczywistość, jak wcześniej powiedział Poeta.

– To, że ktoś nie czyta wcale nie oznacza, że jest leniwy – uśmiechnęliśmy się do niego porozumiewawczo.

Całkiem przyjemnie nam tam było, mimo że był lekki zaduch. Siedzieliśmy bowiem w podziemiach tego ciemnego, grudniowego wieczoru. Celebrować mieliśmy, i chcieliśmy, otwarcie *Czasopisma Literackiego*.

– Czy w literaturze panuje zaduch? – spytał po chwili Redaktor zebrane grono dyskutantów.

– Nie – odpowiedział Poeta. Zdecydowanie.

– Chyba nie – odpowiedziała kolejna Poetka. Trochę mniej.

– Właściwie to nie – odpowiedział kolejny Poeta.

Padła jeszcze jedna, dłuższa odpowiedź, że to wcale nieprawda. Bardzo napęczniała słowami była ta nieprawda. Ruszyliśmy się więc trochę zniecierpliwieni, my woleliśmy konkret. Krótką. Formę. Poza tym chcieliśmy już się napić i wytańczyć też.

– Panuje rozproszenie, tak, absolutne rozproszenie.

– Poetów więcej niż czytających poezję.

– A pisał Sławiński, kiedyś tam, że zanik centrali.

– Co wioska, to poeta.

– Co poeta, to środowisko. Rozproszenie, nie zaduch.

– Rozwolnienie, nie zatwardzenie.

– Czyli zaduch nie?

– Nie.

– Nie.

– Nie.

– Tak, a więc dobrze, niech tak będzie, niech tak się stanie.

– Słowa ustanawiają rzeczywistość – odpowiedzieliśmy.

– Ja natomiast!

Poeta, jakby wywołany tym hasłem, wskoczył nagle na stół, ale to jednak trochę zbyt patetycznie, więc zszedł. Za to stanął, i to jak stanął, wyprostowany wśród tych co na krzesłach.

– Ja natomiast nikogo nie naśladuję! Nikogo! Jestem oryginalny absolutnie!

– Jebać Barthesa! – Odkrzyknęliśmy w odpowiedzi, ale zaraz zamilkliśmy. Bo właściwie to nie wiedzieliśmy, jak na to zareagować. Cisza się zrobiła, trochę niezręczna.

– A, bo to przy okazji mojego następnego pytania... Trochę się Pan wyrwał, Panie Poeto! A więc – czy w dobie postmodernizmu można być jeszcze oryginalnym artystą?

– Jak wyżej - odpowiedział Poeta.

– Chyba tak.

– Dlaczego akurat „w dobie"? Cóż za nieświadome operowanie językiem!

– Używanie utartych form nie oznacza wcale nieświadomości – odpowiedział Redaktor, przy okazji łapiąc kontakt wzrokowy z ciemnością.

– Hmmmm.... No tak, hmmm... – przemówił skryty w ciemności głos[1] – A jak zamierzacie dotrzeć do tych, którzy na co dzień nie czytają?

– No cóż... Nie zamierzamy – odpowiedział Redaktor[2].

Oto kontekst[3]:

---

[1] Trochę tam było ciemno i trochę duszno. Ale tylko trochę.
[2] Odpowiedź taka wydaje się niefortunna, wydaje się zaś taka, bo wyrwana z kontekstu. A wyrywanie zdań i sentencji z tekstu, bez kontekstu, to nie tylko wypaczanie sensu, ale i prawdy – stanowi to więc ogromne niebezpieczeństwo dla literatury.
[3] No!

– Nie zamierzamy w tym sensie, że nie jest to dla nas podstawowym celem. Priorytetem naszego *Czasopisma Literackiego* jest promowanie literatury młodej...

– Młodość to nie metryka, to młode podejście do sztuki! – Krzyknął Zastępca Redaktora, machając głową, zamaszyście.

– Dziękuję, Kolego... No, promowanie literatury młodej. I przy okazji promujemy się w ogóle, w mediach społecznościowych, i tak dalej...

– Warto zaznaczyć, że Polacy nie czytają!

– To prawda, znaczy się... – Redaktor rozejrzał się, czy znowu ktoś go nie wyrwie z kontekstu, i kontynuował nerwowo: – To nieprawda, nie cała prawda. To uproszczenie. Cholera. Przepraszam. No...

– To czytają, czy nie czytają?

– To nie jest tak, że czytają, albo że nie czytają... To nie jest takie proste!

– To nigdy nie jest takie proste! – odpowiedzieliśmy.

– Nieważne czy czytają, ważne jest – co czytają?

– Słaby film, słaba książka...

– A w czymże książka lepsza od serialu?

– Czytanie rozwija wyobraźnię!

– Dość, dość! Musimy wrócić, odwołać! – powiedział Redaktor, w tym momencie jednak zegar wybił godzinę dwudziestą. Oznaczało to jedno. Co się stało, już się nie odstanie.

Koniec, koniec części dyskusyjnej. Teraz mieliśmy czekać na tańce i rozmawiać, dużo rozmawiać. Rozlaliśmy się więc w końcu po podziemiu i Poeta się z nami rozlał, i Redaktor, i inni, i piwo.

I tak rozmawialiśmy:

– Ten wiersz, co o nim sądzisz? Muszę przyznać, że zawsze miałem problem z taką zabawą formą. Wiersz dobry, oczywiście, bezsprzecznie! Ale czy byłby gorszy gdyby go napisać, no, w bardziej klasyczny sposób? – powiedzieliśmy.

– Myślę, że byłby tak samo przeciętny, tylko mniej zwracałby na siebie uwagę – odpowiedzieliśmy, z przekąsem.

– Ależ panowie, to przecież bardzo klarowna gra formą! A czy potrzebna? A czy takie pytanie jest w ogóle potrzebne? – dodaliśmy.

– Jeden rabin powie tak, drugi rabin powie nie – zakończyliśmy dyskusję, ostatecznie.

Ale rozmawialiśmy dalej, więcej i więcej. Jeden wielki kocioł, pełen nas i naszych słów, opinii, literatury. Tłoczyliśmy się między sobą, bo podziemie było dla nas wszystkich za małe – za ciasno dla nas i trochę za duszno.

A z każdym papierosowym dymem w przestrzeń wzlatywało głośne, wzniosłe słowo.

A z każdym wypitym piwem kolejne ciche – kurwa, .Bo to naiwne, tak głośno być wzniosłym.

A z każdym rozlanym piwem rozlane słowa, rozlane zbyt pochopnie, bez świadomości, bez odpowiedzialności.

– A tak przecież nie można! – wyłonił się z nas Poeta, tylko na krótką chwilę i zaraz znów się do nas rozlał.

Gwar stopniowo zaczął rzednąć (ale nie my, my się zbiliśmy w gęstą masę ciężko dyszącą) nie wiedzieć kiedy wlała się w nas muzyka. Rytm pulsował, podnosił się opadał. Początkowo tańczyliśmy nieśmiało, ospale, ale zaraz dołączyliśmy i my, i my. I się rozkręciliśmy, zakręciliśmy, kocioł wirował, wirowaliśmy, my, my...

– Stop! Słuchajcie mnie, słuchajcie co powiem! – wylaliśmy się nagle Poetą.

– Słuchamy! – odpowiedzieliśmy.

– Słowa ustanawiają rzeczywistość.

– Słowa ustanawiają rzeczywistość?

– Tak! Dlatego uważajcie na to, co tam szepczecie sobie od ucha do ucha – spojrzeliśmy po sobie zimnym, przeszywającym wzrokiem. – Na to co mówicie i do kogo, i co tym możecie wywołać. Odpowiedzialność!

– Słowa ustanawiają rzeczywistość.

– To co napiszecie w internecie, na zawsze zostanie w internecie. I w gazecie!

– Słowa ustanawiają rzeczywistość.

– I pewnego dnia...

– Słowa ustanawiają rzeczywistość

– Wszyscy – wszyscy! – Zostaną rozliczeni z tego, co napisali. Albowiem słowa nie są niewinne. Wpływają na nas. Zmieniają nas. Nasz sposób myślenia. Nasze działania. Nasze myśli. Naszą rzeczywistość!

– Słowa ustanawiają rzeczywistość!

– Słowa ustanawiają rzeczywistość!

– Słowa ustanawiają rzeczywistość!

Aż się od tego zakręciliśmy w tym kotle, zakręciliśmy całkiem. Wymieszani rozmowami, dymem i piwem, ściskającymi się ciałami i literaturą, która parła i parła. Rozpychała się wręcz natarczywie, łokciami i kolanami, aż w końcu zaczęło nam brakować oddechu, brakować powietrza, nie ma nie ma nie ma okna. W tych podziemiach.

Ale gwar znów się na chwilę rozrzedził, znów zaczęła się muzyka. I znów popłynęły słowa, pomysły i idee, zlane na parkiet zaczęły wypacać się w Formę. I my tańczyliśmy, i my, i my, mimo że coraz ciężej było oddychać.

My. My. My. Ja.

Ja?

Ja siedziałem w rogu, na tamtej kanapie.

A jednak tańczyliśmy i my, i my.

A ja rozmawiałam z tamtym chłopakiem.

A jednak tańczyliśmy, i my.

A ja się spiłem i wcale nie tańczyłem.

A jednak tańczyliśmy.

Ja tańczyłem.

Ja, ja, o boże, o boże, powietrza! Wyrwać się, wyrwać, ale za lepko, uciekać, ale donikąd, ale ja sam nie dam rady, ja sam, ja sam! To oni, oni tańczyli, oni, nie ja, ja wypadłem, ja odetchnąłem zimnym, grudniowym powietrzem, wdech, wydech. Nie ja zawiniłem, nic nie ustanowiłem, nic nie chciałem, ja zbłądziłem. I nie jestem winny, mylą się, myli się On, to tylko zabawa, zawsze zabawa, ja nic nie chciałem, niczego nie oczekiwałem. To nie jest tak, nie może być tak, nie jest tak, nie jest. A może jednak tak jest. Nie wiem.

– Jak więc w końcu jest?

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziałem. – Nic jeszcze nie wiem. Przyznaję, może faktycznie tak jest, ale może i nie jest. Będę więc próbował dowiedzieć. Się. W końcu, kiedyś, uda się.

Albo i nie.

Odetchnąłem.

Ireneusz Ruchniewicz

Urodzony w 1959 r. Absolwent Akademii Muzycznej w Gdańsku. Mieszka w Niemczech, w okolicach Heidelbergu. Autor tomu *Miniatury poetyckie, czyli „Rozważania przy wieszaniu prania''* (Wydawnictwo STAPIS, 2019).

Siekiera, motyka, w czas zarazy

Inspirowane Zakazanymi Piosenkami:
„Siekiera, motyka, piłka, szklanka,
W nocy nalot, w dzień łapanka".

Siekiera, motyka, piłka, szklanka,
W nocy kaszel, w dzień mijanka.
Obawy sceptyka, czy do maja…
Człowiek z myślą się oswaja.

Siekiera, motyka, dezynfekcja,
Przez komputer szkolna lekcja.
Kariera umyka, w kapciach stopy,
Do roboty przez laptopy.

Przepisów krytyka, rząd się stara,
Dozwolony spacer w parach.
Nikt się nie dotyka – sen o seksie?
Własna twarz jest na indeksie.

Siekiera, motyka, oddech płaski,
Modne laski noszą maski.
Co to za taktyka, w sklepach skowyt,
Znika papier klozetowy.

Siekiera, motyka, za to w świecie
Huczne party w Internecie.
Ten, kto się spotyka grzywnę płaci,
Nie uświadczysz sióstr i braci.

Europa, Afryka, już świat cały,
Wytrzeszczamy na wierzch gały.
Nieważna metryka, niewybredny
Wszystkim grozi wirus wredny.

Sąsiedzka praktyka – na balkonie

Śpiewy, śmiechy, ból w przeponie.
Siekiera, motyka, na tym skończę,
Areszt w domu, mycie rączek

Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz

Góral spod Jasnej Góry. Studiował filologię bardzo bliskowschodnią oraz rodzimą. Uczy i się. Nigdy nie był w RPA, USA ani w PSL. Dużo pisze i pali. Z powodu klauzuli sumienia oraz przepisów RODO więcej grzechów nie pamięta, niczego nie żałuje i nie obiecuje poprawy.

Mała kolekcja wielkich dzieł (II)

Sztuka starożytnego Egiptu – *Malowidło z grobowca Nachta*

[ᑭᑭ ᑎ]

Sztuka starożytnej Grecji – *Malarstwo wazowe*

[Σ↑]

Fra Angelico – *Noli me tangere*

[Π*M* *J*]

Jan van Eyck – *Zwiastowanie*

[∫∫ IM**I]**

Sandro Botticelli – *Narodziny Wenus*

[⊂V⊃]

Leonardo da Vinci – *Portret damy z gronostajem*

[$g^{óó}$]

Rafael Santi – *Św. Michał Archanioł pokonuje szatana*

[$))^{\downarrow((}$]

Tycjan – *Wenus z lustrem*

[V *[V]*]

El Greco – *Chrystus na krzyżu*

[$_{T}$T]

Michelangelo Caravaggio – *Maria Magdalena pokutująca*

[$\cap^{0}$]

Rembrandt van Rijn – *Autoportret z Saskią*

[^{S}*Я*]

Jan Vermeer – *Dziewczyna z perłą*

[Đ$_{ô}$]

Marcello Bacciarelli – *Portret Stanisława Augusta Poniatowskiego w stroju koronacyjnym*

[ℛ]

William Blake – *Urizen stwarzający świat*

[Q]

Wojciech Gerson – *Zjawa Barbary Radziwiłłówny*

[ )^{B}( ]

Jan Matejko – *Astronom Kopernik, czyli rozmowa z Bogiem*

[* ⌿*]

Aleksander Gierymski – *Chłopska trumna*

[h *h* [+]]

Leon Wyczółkowski – *Orka na Ukrainie*

[$_{W}$W^{W}///]

Vincent van Gogh – *Słoneczniki*

[☀☀☀]

Julian Fałat – *Oszczepnicy (Polowanie na niedźwiedzia)*

[↑←]

Jacek Malczewski – *Chrystus i Samarytanka*

[J ∆*0*∆]

Wojciech Kossak – *Gęsiarka*

[g^{k} G]

Władysław Ślewiński – *Sierota z Poronina*

[|ś|]

Olga Boznańska – *Portret pani w białym kapeluszu*

[⊂p⊃]

Henri de Toulouse-Lautrec – *Toaleta (Rudowłosa)*

[*8*/\ ]

Gustav Klimt – *Ślepiec*

[(-) (-)]

Tytus Czyżewski – *Akt z kotem*

[~∞$^{\theta}$]

Leon Chwistek – *Akt*

[^{0}0√]

Władysław Skoczylas – *Pochód zbójników*

[*7Z7Z7*]

Max Ernst – *Całe miasto*

[≡○≡]

Zofia Stryjeńska – *Janosik przy ognisku*

[*h* \\ж/]

Grant Wood – *American Gothic*

[W^M]

Nikifor Krynicki – *Autoportret potrójny*

[nnn]

Józef Czapski – *Mężczyzna na wystawie*

[□ h ▢]

Jan Cybis – *Most na Sekwanie*

[◠ ◠]

René Magritte – *Kochankowie*

[*0*0]

Alfred Lenica – *Geometria – Miasto III*

[(▫◯◇▫)]

Frida Kahlo – *Autoportret z cierniowym naszyjnikiem i kolibrem*

[*0* ¥ *M*]

Maria Jarema – *Kompozycja*

[(°₀°)°₀°)]

Erna Rosenstein – *Pomniki*

[Î ï ì]

Jerzy Nowosielski – *Wschód słońca*

[[]◎[]]

Andrzej Wróblewski – *Obraz na temat okropności wojennych (Ryby bez głów)*

[∝∝∝ ∝]

Wojciech Fangor – *Blue vertiginous*

[⊂⊃]

Roman Opałka – *Detal 3 065 461 – 3 083 581*

[3065461 3074646 3083581]

Edward Dwurnik – *Październik*

[0 0 0 0 0 0 0]

Wojciech Siudmak – *Genesis*

[!Ω *]

Marian Panek – *Cadyk z Lelowa*

[(θ)]

Tomasz Sętowski – *Nuntius II*

[⊆⊇ {”]

Jacek Pałucha – *Afterparty*

[/ ⋉ ⋊ \ ]

N.N. – (*Wyznanie miłosne wyryte na ławce w parku pod Jasną Górą*)

[♡]

Michał Andrzej Sokołowski

Pracował w różnych miejscach, zrobił doktorat, bujał się tu i ówdzie. Publikowany, coś tam kmini, kombinuje. Lubi sport (czynnie: tenis stołowy, biernie: sumo), muzykę (jakieś lofi/chill beats to relax/study to), książki, podróże, ogólnie różne takie (takie).

świat istnieje tylko w detalu

because the night belongs to lovers (Bruce Springsteen Paris 85)
I'm burnin' down this town tonight (John Moreland youtube 2012)

siedzieliśmy w kuchni rozmawialiśmy
w rozstał się z a i nie wiem czy rację miał danto
że sztuka się skończyła i nie ma przyszłości
tylko następujące jeden po drugim akty

działo się kręciło wirowało
nikt nie podbił świata miasta każdy żył dalej
przeżyliśmy superksiężyc (w syzygijnym
perygeum swej orbity) spłonęła notre dame

licząc w deszczu parasole szukając
drobnych po kieszeniach trochę się
zakochując trochę rozstając ciągle czekając
na spóźnione autobusy

w przepełnionej kuchni gdzie wciąż mam lat
siedemnaście dwadzieścia jeden dwadzieścia osiem
wszystkie wersje świata trwają symultanicznie
tysiąc diabłów tańczy na główce od szpilki

czynna.com